

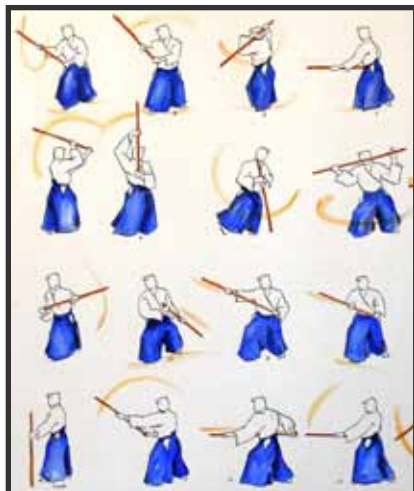
gazel owina

NR 4 (24) 2013
ISSN 2084-6932



ORKIESTRA

006



004

OD REDAKTORA

Jolanta Wroczyńska

006

DROGOWSKAZY

Jak zostać Mistrzem Świata

Katarzyna Bogucka

018

DROGOWSKAZY

Kiedy zazdrość zmienia się w (...)

Agnieszka Czapczyńska

024

BEZKRESY

Podróż w przeszłość (...)

Helena Hańkiewicz

034



030

NA PAPIERZE

Czasem Tak Jest

Kasia Bartsch-Cielebon

034

CHOPIN WIECZNIE ŻYWY

Orkiestra uczuć

Piotr Mysłakowski

038

Na dwie trąbki

Monika Mikołajek

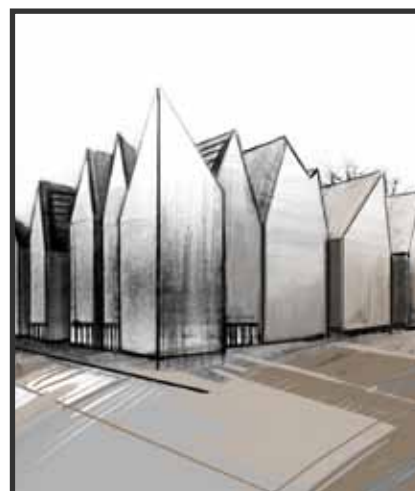
040

PIRUETY...

Blackpool

Agnieszka Kaczorowska

048



044

PROJEKTOR

foto Katarzyna Bogucka

048

WNĘTRZA

Szczecińska harmonia sztuki

Matylda Śłosarska

052

OD CZAPY

Człowiek, Który Wie Wszystko

Karolina Dyja

054

WIEDŹMA

powieść w odcinkach cz. XVIII

Kasia Bartsch-Cielebon

062



062

MYŚLI Z ŻYCIA

Wszystko gra
Anna Ciemieniecka

065

BAJKI NOWE

Grajek
Janina Kędziółka-Filip

066

ŻAK

Człowiek kulturalny
Paweł Radźko

068

SZORT MAT

Stary pulsar i wszechświat
Michał Lewandowski

074



070

Pochwała harmonii
Dorota Kotowicz

072

M jak Magnolie

074

BABEL

MY TRAVELS
Ireland – Heaven, Nature, God
MOJE PODRÓŻE
Irlandia – Niebo, Natura, Bóg
Agnieszka Thomassen

Wydawca
Plstacja Media
Katarzyna Bogucka

Stowarzyszenie Pi-stacja
biuro@pistacjamedia.com
biuro@pi-stacja.com
www.pistacjamedia.com
www.gazetownia.eu

Biuro reklamy
marketing@pistacjamedia.com

Zespół Redakcyjny
Katarzyna Bogucka
Joanna Dudek-Ławecka
Joanna Wroczyńska
Jolanta Wroczyńska

Foto
Katarzyna Bogucka
Vera Cakała
Monika Dynowska
Anna Gruszkiewicz
Janusz Kosik
Teresa Piotrkowicz
Artur Radźko

Ilustracje
Aleksander Bogucki (pingwin)
Mintoft (logo Chopin)
Paweł Siwochowicz (wiedźma)

Opracowanie graficzne i skład
Agnieszka Maślanka

Współpraca techniczna
Agnieszka Betkier

Wydawnictwo zastrzega,
iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych
w piśmie Gazetownia bez zgody
Wydawcy jest zabronione na
podstawie art. 25 ust.1 pkt 1b
prawa autorskiego.
Copyright Plstacja Media 2013

Od redaktora



Orkiestra jest wieczna jak życie. Symfoniczna czy kameralna, z solistą, chórem, dętą i paradną, świąteczną – jednoczy ludzi we wspólnym odkrywaniu piękna, choć na co dzień każdy z nas gra w innej orkiestrze.

Zapraszamy do czytania:

Monika wspomina krakowskie orkiestry kawiarniane ubiegłego wieku. Matylda opowiada o architektonicznym pięknie nowej filharmonii szczecińskiej. Piotr charakteryzuje orkiestrę uczuć w muzyce Chopina. Paweł zastanawia się, czy będąc dyrygentem własnego losu, możemy być kulturalni.

Dorota jest stroicielem ludzkich instrumentów, pomaga im przemówić na nowo i wyrazić siebie. Agnieszka zabiera nas w podróż do pełnej uroku sielskiej Irlandii, która pomogła jej zrozumieć uczucia z dzieciństwa i odnaleźć nadzieję na lepsze jutro. Anna sprawdza czy „wszystko gra” na europejskich dworcach wielkomiejskich. Helena podróżuje w przeszłość do XIX-wiecznego Krzemieńca.

Agnieszka wspomina Blackpool Dance Festival, największy i najbardziej prestiżowy festiwal tańca na świecie, na którym dla najlepszych gra prawdziwa orkiestra.

Michał opowiada o pulsarach i dźwiękach w kosmosie... Ale to jeszcze nie wszystko.

Przeczytajcie sami. Proponuję nowe przysłowie: Kto czyta, nie błądzi!

Jolanta Wroczyńska



Twoją
myśl
przekażemy
innym...



Na Twoje
pytanie
poszukamy
odpowiedzi



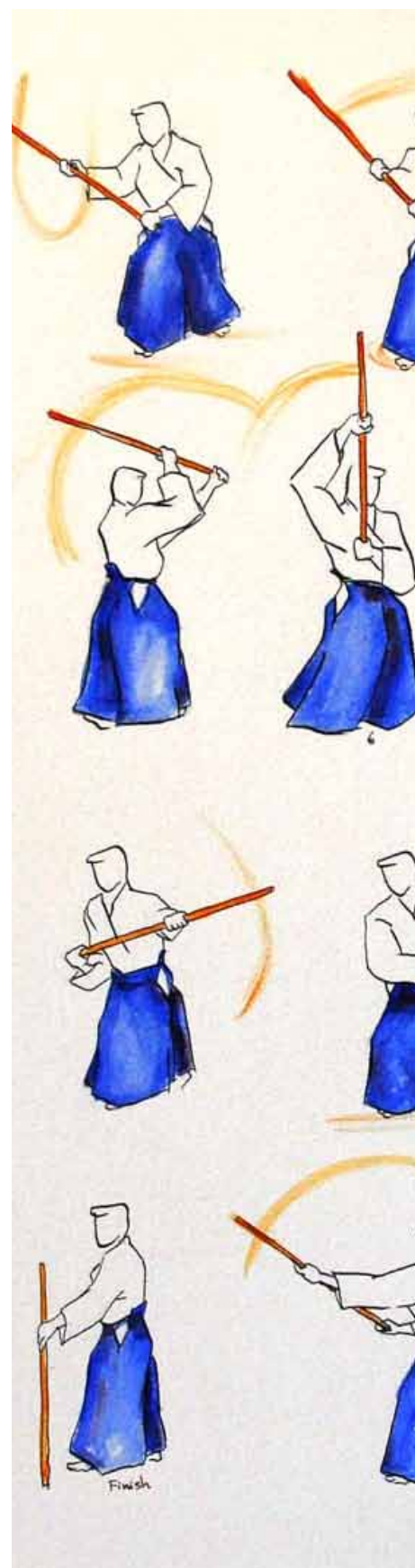
JAK ZOSTAĆ MISTRZEM ŚWIATA

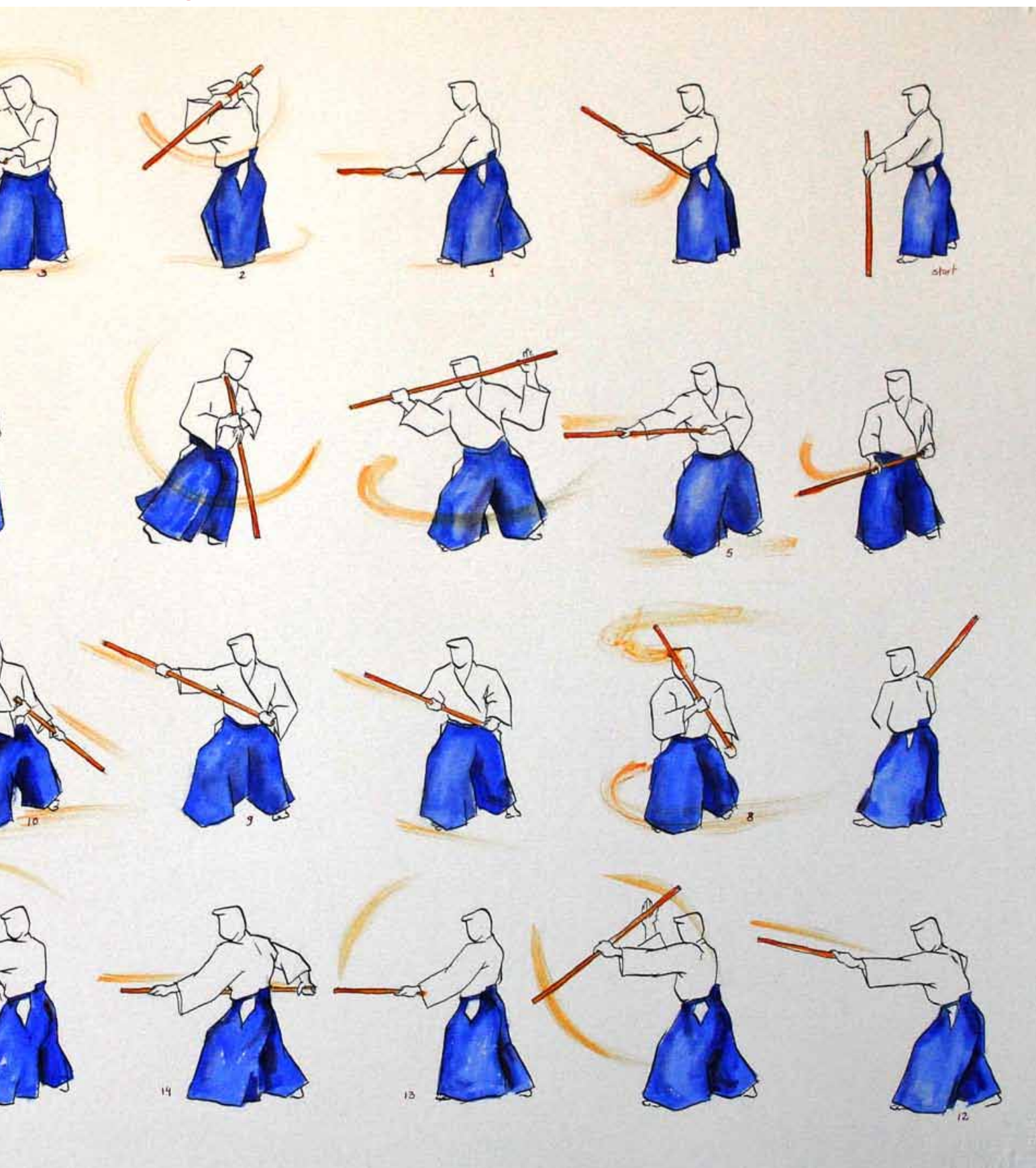
Z Michałem Piotrkowiczem rozmawia
Katarzyna Bogucka

Sztuki walki nie powstały z myślą o sporcie, lecz samoobronie, dlatego walki poza zawodami należy unikać, a jeśli do niej dochodzi, należy się bronić. Wówczas trzeba skupić się na wygraniu. Nie ma czasu na myślenie i porównywanie swoich sił z przeciwnikiem. To, że przeciwnik jest duży i muskularny, nie powinno zaprzętać myśli, bo myślenie o porażce w chwili zagrożenia działa jak samosprawdzająca się przepowiednia.

Kiedy jeszcze nie wiedziałem, że zostanę mistrzem

Mój ojciec był jednym z prekursorów karate w Polsce, a ja ocierałem się o ten świat od dzieciństwa. Nie byłem zmuszany do ćwiczeń, ale tata od małego powtarzał, że jak już coś się zaczyna robić, to porządnie. Jako dziecko miałem fatalną koordynację ruchową i uczyłem się powoli. Niejednokrotnie słyszałem więc, że „kaleczę” technikę i pomimo postępów nie powinienem „nastawiać się” na wynik itp. Myślę, że to tata bardziej się stresował, kiedy chodziłem do niego na zajęcia i ciągle mnie poprawiał, więc zaczął mnie wysyłać na początek do innych trenerów. Z czasem wróciłem na salę taty, gdzie stałem się jednym z wielu zawodników. Nigdy nie traktowałem karate jako sportu, a uczestnicząc w zawodach nie stawiałem sobie za cel bycie lepszym od innych. To wcale nie oznaczało, że nie chciałem wygrać. Spotkałem wiele osób, dla których celem





było zdobycie trofeum albo stopnia, ale większość z nich rezygnowała, gdyż albo nie sprostaa własnym ambicjom, albo spoczęła na laurach po sukcesie. Dla mnie najważniejszą motywacją było sprawdzenie, jak dobrym mogę być w tym, co robię. Gdy przysły sukcesy, uznawałem je za pewien przywilej, będący konsekwencją przyjętej drogi, a gdy pojawiły się porażki powtarzałem sobie, że uczę się, jak być lepszym w swojej dyscyplinie.

Pierwsza nagroda

Po rocznym doświadczeniu wystartowałem w zawodach jako ośmiolatek i zająłem ostatnie miejsce z możliwych. Od tamtego wydarzenia upłynęło siedem lat, gdy dostałem swój pierwszy medal. To się zbiegło z rozegraniem pierwszy raz wolnej walki. Do 14 roku życia walki są częściowo aranżowane, ograniczone są techniki. To był medal, na który musiałem się mocno napracować. Do dziś ma on dla mnie dużą wartość i wciąż sprawia mi olbrzymią przyjemność.

Ale właściwie po co?

Sztuki walki są w tej nienajlepszej sytuacji, że nie mają za dużo pieniędzy. Jak zawodnik jest dobry, to jest szansa, że nie będzie jeździł na zawody za swoje. Ale to dla szczęściarzy i wybrańców. Sztuki walki, które ja uprawiam są bardzo wymagające, pochłaniają dużo czasu, siły, pieniędzy, ale dają to coś co nie do końca obecnie jest promowane w życiu. Kultuwują paletę egzotycznych wartości, jak wytrwałość, pracowitość, dokładność, systematyczność, skupienie. Z tym wszystkim borykasz się na co dzień, ale również pokonując przeciwności pniesz się w górę, pamiętając o pokorze. Na macie tworzą się wspaniałe przyjaźnie. To jest przygoda na całe życie – fascynująca, pełna wzlotów i upadków. Natomiast spracowane dłonie karateki świadczą o wieloletnim wysiłku, dyscyplinie i niezłomności ducha.

Sztuka wykuwania siebie

Dziennie ćwiczę od 3 do 5 godzin, z wyjątkiem niedzieli, i tak od dwudziestu lat, bo nie miałem choćby miesięcznej przerwy. Wiem, że niekoniecznie wygrywa ten, kto ma opanowaną dużą ilość technik, lecz ten, kto ma jakość techniki. Ludzie myślą, że mistrzowską klasą jest kopnięcie obrotowe, z wyskoku i to najlepiej z saltem. A tak nie jest. Mistrzowską techniką karate jest lewy i prawy prosty, tylko pod jednym warunkiem, że jest opanowany na mistrzowskim poziomie. Na zawodach

czasami można wygrać walkę jedną techniką, bo nie liczy się skomplikowanie ruchu tylko jego jakość. A to wynika właśnie z pracy na treningach, z rzemieślniczej roboty. Czyli, dopiero jak masz porządny warsztat, to możesz się bawić technikami. I wtedy pojawia się własny styl, na który składają się technika i charakter.

Będę mistrzem...

Ważne jest to, żeby nie zakładać, lecz dążyć do zdobycia medalu czy zostania mistrzem. Bycie mistrzem wymaga pracy, a kiedy się nie udaje, to jako trener i zawodnik wiem, że trzeba dalej walczyć, mówiąc sobie „mam kolejny rok na poprawienie techniki”. Jednak wiele osób, kiedy czują się zawiedzione, bo nie sprostają swoim ambicjom, to szukają winy gdzie indziej. Na zawodach są to źli sędziowie albo kontuzja itp. I teraz jedni myślą „trudno, dam sobie spokój” i mają o sobie złe zdanie, a inni są wściekli. Większość niezadowolonych z własnych osiągnięć odcina gałąź, na której siedzi, natomiast spora liczba osób po sukcesie spoczywa na laurach. A bycie mistrzem wymaga pracy zarówno wtedy, gdy wychodzi, jak i wtedy, gdy nie idzie po twojej myśli.

Idealny trener

To na pół etatu psycholog, bo z każdym zawodnikiem trzeba inaczej rozmawiać i nie można nikogo mierzyć własną miarą. Do jednego trzeba być ciepłym i spokojnym, a drugiego trzeba zrugać i nakręcić. To musi być osoba, która nie będzie zmuszać do kopiowania swojej manieri walki. Ludzie mają odmienną budowę ciała, różne charaktery i trener powinien do każdego podchodzić indywidualnie. Ważna jest wyobraźnia trenera, który musi przewidzieć, w jakich walkach zawodnik może się sprawdzić i jakie techniki do niego pasują. Czasem fascynacja jakąś techniką nie przekłada się na jej stosowanie. Maniera walki wypływa z tego co ma się w głowie. Jeden lubi atakować, drugi walczyć z kontry. Dobry trener potrafi dostrzec to co dobre i to co jest do wypracowania w swoim uczniu.

Koszty

Najtańsze jest karate. Kupuje się Karategi, zwane potocznie kimonem, ale jest to niepoprawne, bo kimono jest dla gejszy





ewentualnie samurajów. Czyli Karategi i ochraniacze to wszystko co potrzebne, aby rozpocząć trening. Szymierka samurajska ma znacznie wyższe koszty, bo i sam strój jest droższy. Długie szerokie samurajskie spodnie Hakama i góra tego stroju Keikogi, do tego miecz drewniany, drugi nieostrzy, do praktyki z grupą i jeszcze miecz ostrzy. Miecz treningowy kosztuje od tysiąca złotych w górę, miecz ostrzy ponad tysiąc złotych, a kuty w Japonii może być wart tyle co samochód. Dlatego szymierkę samurajską trenują osoby samodzielne finansowo.

Wrażenia i motywacje

Największe wrażenie to Puchar Świata 1997 w Pałacu Kultury, kiedy zjechała się cała czołówka świata zawodników, a mnie otwierały się oczy szeroko i świeciły na ich widok. Ponad 900 zawodników, to była olbrzymia liczba jak na tamte czasy i mój wiek.

A pierwszy medal na zagranicznym turnieju był od razu medalem z mistrzostw świata. Nie mogłem się przebić wcześniej w Europie, ciągle coś nie wychodziło. Nie było funduszy i to był taki rok że jedyny nasz wyjazd był na zawody na Sardinii. Przeszedłem dopiero co do kategorii seniorów (18-19 lat), zdałem świeżo na czarny pas i pokonałem zawodników bardziej doświadczonych i z wyższymi stopniami. Powiedziałem sobie, że tanio skóry nie sprzedam i się udało, co pozwoliło uwierzyć mi we własne siły możliwości Zdobyłem brązowy medal. Dalej kolejnym kamieniem milowym była Kanada 2011 – zaraz po ukończeniu Akademii Sztuk Pięknych (pierwsza część wywiadu w „Gazetowni” nr 23) pojechałem na mistrzostwa świata i zdobyłem trzy medale – brąz w formach z bronią, złoto bez broni i w walkach srebro.

Za jakie walki te medale?

W karate i w szymierce formy to są układy walki bez przeciwnika, czyli zapis choreograficzny walki z wieloma przeciwnikami. Tak właśnie trenowano karate od zawsze. Trening w parach jest stosunkowo późnym nabytkiem. Karate na początku trenowano w tajemnicy i dlatego wykonywano to samodzielnie. Tak było z większością sztuk walki. **Kata** (stosowane wyrażenie do wszystkich japońskich sztuk walki) to pewnego rodzaju zapis technik, które mistrz chciał, aby przetrwały. W Kata znajdują się również te zabronione w walce sportowej techniki. Trzeba pamiętać, że były to techniki nie do sparringu tylko samoobrony. To była sztuka wojenna. **Kumite** to walka, praktyczna aplikacja ruchów. Trening stanowi całość, kiedy jest Kata-Kumite.

Kobudo

Najdłużej trenuję karate, od 7 roku życia. Kobudo jest powiązane z karate i polega na posługiwaniu się tradycyjnymi rodzajami broni wykonanymi na podobieństwo oryginalnej, np. długi kij (BO), nunchaku(krótkie cepy), tonfa(część żarna), sai (trójzęby pierwotnie używane do sadzenia ryżu), sierpy (KAMA), to jest cała paleta. Legenda głosi, że na Okinawie, skąd pochodzi karate były trzy królestwa, które walczyły między sobą. No i znalazł się taki, który pokonał walczących i obwołał się królem. Edykt, zakazujący posiadania typowej militarnej broni siecznej, został wydany przez króla Okinawy, a później podtrzymany przez klan Shimazu, pod którego okupacją znalazły się wyspy Ryukyu. Historycy spierają się czy rodzaje broni okinawskiego Kobudo rozwinęły się tak, jak twierdzi większość, z narzędzi rolniczych. Praktykujący Kobudo nie zrzeszali się w formalnych organizacjach i nie stosowali ujednoliconych metod treningowych, bo to była sztuka tajemna. Warto tutaj nadmienić, iż w historii Okinawy podbitej przez Japończyków dwukrotnie obowiązywał zakaz posiadania i noszenia broni. Początkowo Kobudo zajmowali się ludzie, którzy organizując się w małe grupy chronili zajętych uprawą roli chłopów. Dopiero później, gdy Kobudo funkcjonowało jako uznany system walki. Ci, którzy pragnęli go studiować poszukiwali znanych nauczycieli i ubiegali się o możliwość ćwiczenia pod ich okiem. Jednym z najbardziej znanych mistrzów był Shinko Matayoshi.

Ćwiczenia z shinken

Shinken to „żywe ostrze”, termin używany wyłącznie na określenie oryginalnego miecza japońskiego, który jest w stanie przeciąć cel. Choć obecnie szermierka straciła użytkowy charakter, ciągle pozostaje wiele powodów, by ją ćwiczyć. To nie tylko atrakcyjna tradycja, ale także sposób, w jaki można nauczyć się przewycięzać bariery, z jakimi spotykamy się w szarej codzienności, ponieważ mało co konfrontuje nas tak wyraźnie z własnymi słabościami. Testy **tameshigiri** (cięcia mat) należą do najbardziej wymagających, a wykonywanie ustalonych form na sparringach nie może równać się z chwilą, w której stoi się naprzeciwko maty z „dwukilową brzytwą” w rękach. Współcześnie istnieje niewiele szkół trenujących ostrym mieczem. Do najsłynniejszych z nich należy **battodo**, sztuka walki, którą od przeszło dziesięciu lat praktykuję w Warszawskiej Szkole Samurajów. Techniki i sposób nauczania w tej szermierce wywodzą





się wprost z wojskowej szkoły **Toyama-ryu**, która w czasie drugiej wojny światowej odpowiadała za szkolenie japońskich oficerów. Praktycy tej unikalnej sztuki są w prostej linii kontynuatorami tradycyjnego fechtunku z czasów samurajów. Dla mnie osobiście trening cięcia mat daje poczucie przeniesienia się do czasów feudalnej Japonii, kiedy na polu walki zwykle jedna poprawna technika rozstrzygała o czymś życiu lub śmierci. Tak samo chwila wahania, drobny błąd wpływają na test **tameshigiri**. Wierzę głęboko, że tak jak przed wiekami, tylko w dłoniach prawdziwego mistrza ostrze ożywa, służąc mu za przedłużenie rąk i woli. Najtrudniejsze jest utrzymanie stanu gotowości, w którym nie myśli się o porażce, nie planuje kolejnych ruchów, ale reaguje na bieżąco, zależnie od sytuacji. Ten stan duszy nazywa się **zanshin** (dosłownie: być na straży, czuwać). Uroku cięciom dodają pewne szczegóły, których nie da się przewidzieć. Każdy, kto weźmie udział w treningu tameshigiri, może się przekonać, że skuteczność cięcia nie zawsze zależy tylko od niego samego. Czasem na efekt końcowy składa się szereg drobiazgów, np. czy mata została dobrze namoczona, czy poprawnie ją nabito na kołek itp. Ale obiektywnie to nie miecz tnije, lecz człowiek. Mata, podobnie jak niegdyś ludzkie ciało, nie stanowi trudnej przeszkody dla **katany**. Najczęściej za niepowodzenie cięcia odpowiadają błędy techniczne i ludzkie słabości. Dzisiaj przeżycie nie zależy od sprawności posługiwania się mieczem, jednak to, jak żyjemy, uzależnione jest od tego, jak radzimy sobie z przeciwnościami losu. By po latach wytrwałej pracy nad sobą móc przezwyciężyć każdą, najtrudniejszą przeszkodę, warto wskrzesić tradycję samurajów.

Chanbara...

To dosłownie „bijatyka na patyki”, czyli tradycyjna chłopięcą zabawa znana nie tylko w Japonii, ale chyba na całym świecie. Dziś zamiast kijów wykorzystuje się napompowane dętki obleczone materiałem, a nowy sport rozrósł się do rangi międzynarodowej. Moja przygoda z tą dyscypliną zaczęła się późno, gdy kończyłem liceum. Dziś jestem pięciokrotnym

medalistą mistrzostw świata i kilkunastokrotnym mistrzostw Europy. W innej dyscyplinie, zaczynając tak późno, mógłbym w najlepszym wypadku zostać trenerem. Oczywiście, pomogło mi doświadczenie z innych sztuk walki. Nie mniej wśród moich uczniów zdarzają się ludzie dojrzały, którzy uprzednio niczego nie ćwicząc, byli w stanie (po jakimś czasie) z sukcesami startować na zawodach. Zaczynałem, mając za sobą praktykę karate i battodo. Do mojego zainteresowania chanbarą bez wątpienia przyczynił się fakt, że jej twórca, kancho Tanabe, jest także mistrzem battodo. Tradycyjny fechtunek nie daje możliwości sprawdzenia własnych umiejętności w bezpośrednim starciu. Mistrz Tanabe, świadomy tego, stworzył sport, w którym wykorzystywany sprzęt jest bezpieczny, a przy tym nie ogranicza swobody ruchu i pola trafień. Inne sporty walki niosą ze sobą różne ograniczenia. Przykładowo, w kendo nosi się całą zbroję, a mimo to niedozwolone pozostają cięcia w nogi. W szermierce europejskiej pole walki ograniczone jest do wąskiego korytarza, co wymusza walkę w linii. Bezpieczny sprzęt powoduje, że można walczyć z dowolną manierą. Nie ma też przeszkód, by w treningach uczestniczyły małe dzieci. Starcie trwa do pierwszego trafienia lub czasem do dwóch. W tych „szachach błyskawicznych” premiowane są techniki w pierwszym rzędzie efektywne. Zawodnicy próbujący widowiskowych, ale nieskutecznych technik szybko zostają pokonani. Tak jak na polu walki. Kolejną cechą wyróżniającą tę dyscyplinę jest bogactwo konkurencji. Każdy znajdzie coś dla siebie wśród dwunastu broni, w tym m.in. nóż, miecz i tarcza, włócznia czy kij. Lecz chanbara to coś więcej niż sport. To przede wszystkim świetna zabawa, podczas której można bezkarnie okładać się z kolegami. Można staczać bitwy drużynowe lub na zasadzie „każdy na każdego”. To trochę taki szermierczy paintball. Można sprawdzić, czy rycerz mógłby pokonać samuraja, konfrontując różne sposoby walki, a nawet poszczególne bronie między sobą. Obok siebie, na równych zasadach mogą stanąć osoby uprawiające chińskie, filipińskie czy japońskie sztuki walki i szermierkę europejską. Chanbara jest nową, szaloną dyscypliną, której może i powinien spróbować każdy, kto kiedykolwiek przenosił się w myślach na średniowieczne pola bitew i marzył o epickich pojedynkach tak samo jak ja.

MMA?

To mieszane sztuki walki. Jedni uważają, że są one zagrożeniem dla tradycyjnych stylów, drudzy sądzą, że stanowią ich naturalną ewolucję, dla innych jest to

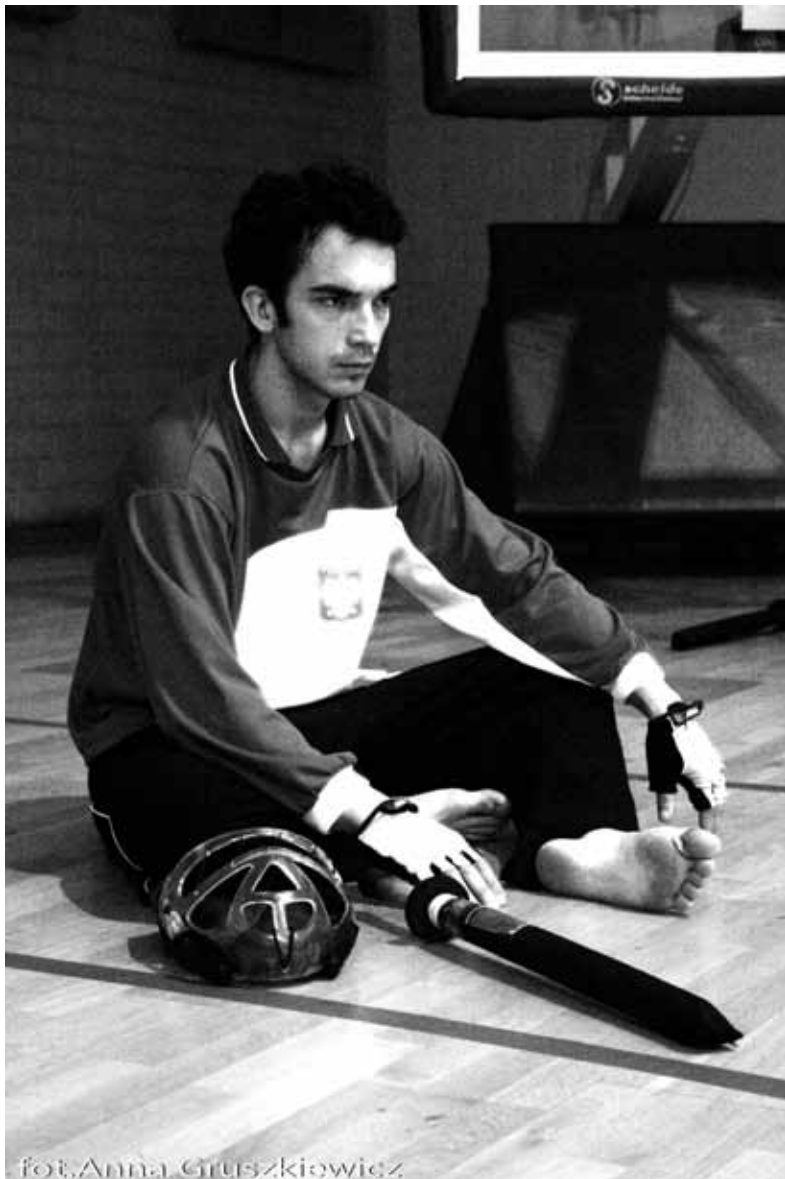


tylko kolejna formuła walki. Dla mnie to logiczna konsekwencja treningu przekrojowego. Miałem to szczęście, że trenowałem równolegle różne dyscypliny. Po przeszło dwudziestu latach osiągnąłem zaawansowany poziom umiejętności w karate, boksie, szermierce samurajskiej i sportowej oraz jujitsu. Oczywiście, rozpoczęcie naraz równoległego praktykowania tak wielu sztuk walki początkowo sprawiało mi problemy. Żadna z tych dziedzin ze sobą nie współgrała. Mimo trudnych początków wszystko zaczęło się stopniowo dopełniać, aż złożyło się w całość. Dziś nie ma dla mnie znaczenia, czy mam walczyć na chwyt i dźwignie, uderzenia i kopnięcia, czy za pomocą jakiejś broni. Od lat trenuję trzy do pięciu godzin dziennie, dzieląc czas pomiędzy różne dyscypliny. Konsekwentny i różnorodny trening zwiększył efektywność moich technik, co zaowocowało licznymi sukcesami sportowymi. Niewielu jest zawodników z podobnym do mojego dorobkiem. W swojej karierze sportowej zdobyłem ponad sto trofeów, w tym pięciokrotnie wywalczyłem medale na mistrzostwach świata karate i na mistrzostwach świata w chanbarze.

Przepis na mistrza?

W języku polskim jest śmieszna nieścisłość: mistrzem jest ktoś, kto ze względu na posiadające umiejętności poświęcił całe życie danej dziedzinie oraz zawodnik, który wygrał mistrzostwa Polski w karate, choć nie ma na koncie wieloletniej praktyki. W języku angielskim jest rozróżnienie na **master** i **champion** i wiadomo o co chodzi. Zatem, aby zostać mistrzem trzeba po prostu trenować. To nie jest ważne, że się wolno robi postępy, lecz ważne jest, żeby je robić. Praca wyrównuje braki talentu, a jak się jest konsekwentnym, to na pewnym etapie nieistotne jest czy ktoś na początku miał predyspozycje czy nie. Osoby z talentem zwykle wkładają w trening mniej pracy i zwykle są mniej skupione, bo łatwiej dochodzą do zadowalającego efektu. A „rzemieślnicy” z czasem stają się wirtuozami, bo są dużo lepiej skupieni. Czyli upór i konsekwencja. Ważne jest, aby nie zmieniać za nauczycieli, bo to nie prowadzi do bycia mistrzem. Nauczyciela, który dzieli się doświadczeniem i wiedzą, trzeba cenić i traktować poważnie, bo mistrzów nie ma wielu. Respekt i lojalność wobec nauczyciela to podstawy, które są nierozzerwalnie związane ze sztukami walki. Aby zostać mistrzem nie wolno być leniwym, tak jak w życiu. Nie oszukujmy się, ludzie stają się bogaci czy mają dobrą pracę nie za sprawą czarodziejskiej różdżki. Wszystkie cechy charakteru, które się ćwiczy podczas treningu są

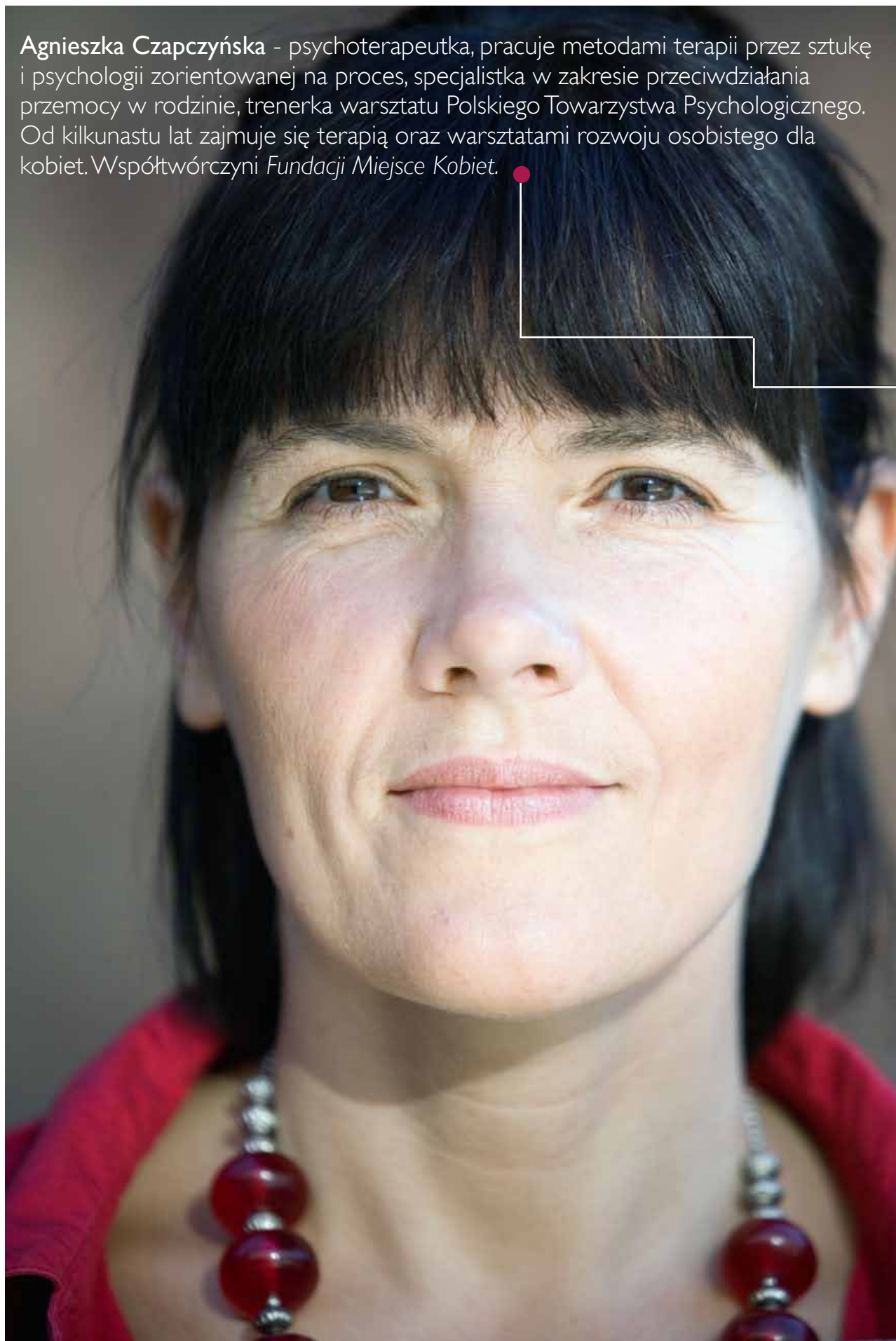
bardzo przydatne w życiu. Moim zdaniem, na treningu jest to łatwiejsze, bo mamy konkretne zasady, a w życiu może być z tym różnie. Mam wrażenie, że współcześnie etyka zawodowa to trochę oksymoron. Na treningu jak nie przestrzega się zasad takich jak lojalność, szacunek, to się wypada. Może warto sprawdzić swój charakter, potraktować treningi jako formę relaksu z równoczesnym samodoskonaleniem, by łatwiej było znosić trudy dnia codziennego... ■



Michał Piotrkowicz 4 dan karate, 3 dan battodo, 4 dan chanbara, 1 dan kobudo, 1 dan jujitsu.

Mistrz Świata 2011, wielokrotny zdobywca Pucharu Świata i Europy. Absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, konserwator sztuki, artysta malarz. Uprawia japońskie sztuki walki od 1992 r. Wielokrotny mistrz Polski w karate Gosokuryu, karate Fudokan (PZKF), karate sportowym (PFKS). Mistrz Ukrainy w karate i kobudo, medalista Pucharu Europy i Pucharu Świata w kumite, wielokrotny medalista międzynarodowych zawodów w tameshigiri (cięciu mat ostrym mieczem). Instruktor boks Polskiego Związku Bokserskiego, instruktor sportu karate i mma, międzynarodowy instruktor sportów chanbara klasy A, posiadacz stopni mistrzowskich w wielu japońskich sztukach walki. Startował w ponad 70 turniejach największych federacji karate, takich jak International Karate Association (IKA), International Japan Karate Association (I-JKA), Japan Karate Association World Federation (JKA-WF), World Union of Karate Federations (WUKF), World Karate Federation (WKF), World Traditional Fudokan Shotokan Karate-do Federation (WTFSKF). Zdobywca ogółem ponad setki trofeów na zawodach sztuk i sportów walki.

Agnieszka Czapczyńska - psychoterapeutka, pracuje metodami terapii przez sztukę i psychologii zorientowanej na proces, specjalistka w zakresie przeciwdziałania przemocy w rodzinie, trenerka warsztatu Polskiego Towarzystwa Psychologicznego. Od kilkunastu lat zajmuje się terapią oraz warsztatami rozwoju osobistego dla kobiet. Współtwórczyni *Fundacji Miejsce Kobiet*.



KIEDY ZAZDROŚĆ ZAMIENIA SIĘ W PRZEMOC

Agnieszka Czapczyńska

*Tak mnie kochał, że prawie przestałam oddychać... Na początku było wspaniale, jakby
zajechał po mnie rycerz na białym koniu. Męski, szarmancki, kochający, oddany.*

*Po tygodniu znajomości powiedział mi, że jestem kobietą jego życia
i chciałby mieć ze mną dziecko. To było takie wzruszające! Codziennie sms-y ze słowami
miłości, niespodziewane kwiaty, romantyczne randki.*

*Koleżanki wzdychały z zazdrości, a ja byłam zakochana po uszy. Potem był piękny ślub
i szybka ciąża. Wtedy coś się zmieniło. Skończyły się kwiaty i randki, zostały sms-y
wielokrotnie wysyłane do mnie przez cały dzień z pytaniami „co robisz?”, „gdzie jesteś?”,
„dlaczego się spóźniasz?”, „do kogo dzwoniłaś, telefon był zajęty?” itp. Mąż nalegał, żebym
przerwała pracę zawodową dla dobra nienarodzonego dziecka,
ale tak naprawdę czułam, że jest po prostu zazdrosny.*

*Nie wolno mi było spotykać się z nikim (bo był wtedy samotny), malować paznokcie
(bo prowokuję), ubierać się ładnie (bo dla kogo tak się stroję).*

*Kontrolował sposób w jaki spędzam czas, przeglądał moją skrzynkę mailową, zdobył billingi
telefoniczne i rozliczał mnie z każdego numeru telefonu. Zaczęłam doświadczać lęku,
który rozwinął się w ataki paniki. Z czasem dowiedziałam się, że jego zazdrość to nie była
wcale miłość tylko przemoc...*

Joanna, 33 lata

Co to jest zazdrość?

Zazdrość łączy się z naszymi niezaspokojonymi potrzebami. Chcemy poczuć, że jesteśmy kochani, wartościowi czy bezpieczni w życiu i wydaje się nam, że ktoś z zewnątrz np. partner czy partnerka może zaspokoić ten głód. Niestety, ten „ktoś” nawet jeśli nas aktualnie kocha i podziwia, za chwilę może zniknąć i zabrać ze sobą nasze dobre samopoczucie. Wystarczy, że zakocha się w kimś innym... Zazdrości doświadczamy jako reakcji na coś z zewnątrz. To partner lub partnerka robi coś, co budzi w nas niepokój np. spotyka się ze znajomymi, rozmawia z kimś przez telefon, spóźnia się itp. Rzadko kiedy bierzemy odpowiedzialność za to uczucie całkowicie na siebie. Niezależnie od tego, co robi nasz partner/ka, to nam brakuje poczucia bezpieczeństwa, akceptacji czy umiejętności docenienia własnej wartości itp. Ten rodzaj perspektywy, w której świadomie stajemy za tym, czego potrzebujemy, paradoksalnie daje nam o wiele więcej możliwości działania i pozwala w bardziej przytomny, niż to zwykle robimy sposób zatroszczyć się o siebie. Możemy wtedy zobaczyć, czego realnie brakuje w naszym związku i czy mamy wpływ na zmianę, np. jestem zazdrosna o „pracę” mojego partnera, która pochłania większość jego czasu i uwagi. Jakie moje potrzeby nie są zaspokojone w tej relacji? Czy mogę wyrazić to wprost w mojej relacji np. „Kocham cię i potrzebuję spędzać z tobą więcej czasu”. Czy takie postawienie problemu zmienia coś? Jeśli nie, to jak inaczej mogę zadbać o zaspokojenie mojej potrzeby bliskości? Za tym tokiem myślenia idą czasem poważne decyzje o zmianach, ale nie tracimy przynajmniej czasu na wypalanie się w awanturach typu „jesteś zły i zaniedbujesz mnie”.

Czy zazdrość jest dobra czy zła?

Zazdrość jest z jednej strony traktowana w naszej kulturze jako słabość, z drugiej zaś jako siła będąca przejawem miłości. Z perspektywy moralnej, przeżywanie zazdrości jest traktowane jako wyraz małoduszności, egocentryzmu i łapczywego zagarniania do siebie, tego co nie nasze. Czyli, krótko mówiąc, nic czym warto by było się chwalić przed innymi. Z perspektywy codziennego życia jest z kolei symptomem „prawdziwej” miłości, w gruncie rzeczy pozytywnym doświadczeniem, świadczącym o naszej zdolności do

kochania drugiej osoby. Z innej, bardzo pragmatycznej perspektywy psychologii, zazdrość jak każda emocja, nie jest ani dobra, ani zła. To dopiero nasze działania, jakie podejmiemy kierowani zazdrością, mogą stać się konstruktywne dla nas i innych lub niszczące. Uczucie zazdrości może stać się bardzo ważnym impulsem popychającym do wglądu osobistego lub pomóc w naprawie funkcjonowania relacji. Jeśli czując zazdrość stanę się bardziej wrażliwa/y i bardziej uważna/y na potrzeby partnera/ki to jest to pozytyw budujący związek. Jeśli czując zazdrość dokonam wglądu we własne potrzeby i przyglądając się komu i czego zazdroszczę (co nigdy nie jest przypadkowe) odkryję co jest dla mnie wartością w życiu, to jest to pozytyw, który coś buduje. Jeśli jednak moja zazdrość stanie się narzędziem tortury dla mnie i bliskich mi osób, to nie prowadzi to do niczego dobrego...

Poczucie bezpieczeństwa w związku?

Zazdrość w relacji ma bezpośredni związek z tym, na ile czujemy się bezpiecznie. Poczucie zagrożenia może płynąć z naszych przekonań na własny temat np. „Uważam, że jestem mało atrakcyjna/y”, „Nikt interesujący mnie na pewno nie pokocha”, „Inni są lepsi ode mnie” itp. Im gorzej myślimy o sobie jako o partnerce/rze, w jakiegokolwiek sferze np. emocjonalnej, intelektualnej czy seksualnej, tym bardziej prawdopodobne jest, że będziemy czuły/li zazdrość w związku i zazdrość będzie towarzyszyła wszystkim naszym relacjom, niezależnie od tego z kim aktualnie jesteśmy. Poczucie zagrożenia w związku może mieć jednak nie tylko przyczynę wynikającą z naszego osobistego braku poczucia bezpieczeństwa, lecz także bardzo konkretny, zewnętrzny powód związany z zachowaniem osoby, z którą jesteśmy w związku. Jeśli nasz partner/ka zdradza nas, oszukuje, traktuje pogardliwie lub chłodno, okazuje nam naszą gorszość od innych, naprawdę trudno czuć się razem bezpiecznie...

Kiedy zazdrość zamienia się w przemoc?

Zazdrość w miłości jest akceptowanym społecznie rodzajem zazdrości. Istnieje wokół tego tematu wiele przekonań typu: „Nie ufaj żadnej kobiecie”, „Mężczyźni są niewierni”, „Jak kocha, to zazdrosny”, które pokazują, że uważamy za normalne i powszechnie zrozumiałe doświadczanie tej emocji w związku. W naszej kulturze, zazdrość

traktowana jest jako przejaw miłości i to daje „alibi” do okazywania jej w różny sposób drugiej osobie. Granica między zazdrością, która „jest wyrazem miłości”, a przemocą jest dość cienka. Jeśli pod pretekstem zazdrości jedna osoba w związku krzywdzi i znęca się nad drugą, jest to przemoc, do której zalicza się:

- * Kontrolę dotyczącą różnych aspektów życia ofiary (np. sprawca pod pretekstem zazdrości odbiera autonomię i wymusza określony sposób ubierania się, spędzania wolnego czasu oraz czasu w pracy, sposobu dbania o siebie itp.);
- * Śledzenie, podsłuchiwanie, włamywanie się do skrzynki mailowej, czytanie sms-ów, sprawdzanie bilingów itp.;
- * Izolowanie drugiej osoby od otoczenia (np. znajomych, rodziny);
- * Podważanie poczucia własnej wartości ofiary (np. zawstydzanie w sytuacjach publicznych);
- * Awantury na tle zazdrości, zmuszanie do tłumaczeń, zdawania sprawozdań, „udowadniania niewinności”;
- * Obelgi, wyzwiska pod adresem ofiary i jej znajomych, stanowiących potencjalne zagrożenie dla sprawcy;
- * Traktowanie własnej zdrady jako narzędzia karania partnera/ki (np. podkreślanie walorów innych osób itp.);
- * Wymuszanie posłuszeństwa poprzez podsycanie zazdrości partnera/ki („jeśli nie będziesz robić tak jak ja chcę, znajdę inną/ego).

Zwykle osoba, która jest obiektem tego typu działań ze strony zazdrosnego partnera/ki usiłuje załagodzić sytuację, starając się udowodnić swoją niewinność i dostosowywać do oczekiwań. Osoba doświadczająca przemocy zwykle bierze winę za uczucia partnera/ki wobec siebie, czuje bezsilność, z czasem może doświadczać obniżenia nastroju, depresji, lęku, poczucia winy i wstydu. Żadna miłość nie usprawiedliwia zazdrości, która przeradza się w krzywdzenie drugiej osoby. Zazdrość nie jest nieodzownym elementem miłości.

Jeśli jesteś osobą doświadczającą przemocy, stosowanej pod pretekstem zazdrości, szukaj pomocy! Adresy placówek dla osób doświadczających przemocy w rodzinie działające na terenie całego kraju można znaleźć na stronie www.porozumienie.niebieskalinia.pl

AC



TWOJĄ MYŚL PRZEKAŻEMY INNYM

Podróż w przeszłość XIX-wiecznego Krzemieńca

Helena Hańkiewicz



W trakcie poszukiwań w Państwowym Archiwum w Tarnopolu informacji o rodzicach i dziadkach Juliusza Słowackiego odkryłam dla siebie całkiem inny świat. Zaocznie poznałam wielu krzemieńczan, którzy dawno odeszli, zostawiając tylko ślad na wytartych i pożółkłych kartach oraz mnóstwo pytań o ich krótkie życie na ziemi. Pragnę tu przedstawić szkic z dziejów parafii katolickiej Krzemieńca drugiej połowy XIX wieku, który powstał w wyniku opracowania ksiąg metrykalnych z tego okresu. Pierwsze księgi, obejmujące lata 1848-1849, pisane są jeszcze w języku polskim, następne jako „osiągnięcie” polityki rusyfikacji już po rosyjsku. Charakter pisma bywa różny: czasem przesadnie staranny, czasem prawie nieczytelny, nerwowy, z błędami ortograficznymi i śmiesznym tłumaczeniem polskich nazwisk, świadczący o trudzie i niechęci posługiwania się językiem

państwowym. W trzech rubrykach – chrzest, ślub i zgon, skrzętnie zapisanych ręką księdza proboszcza zmieściło się życie setek ludzi, tworzących niegdyś mozaikową panoramę dawnego Krzemieńca. Są wśród nich postaci ogólnie znane oraz zwykli krzemieńczanie.

„Dostojny” Józef Krafft – to nazwisko w Krzemieńcu teraz zapomniane, lecz pozostało ono na zawsze zapisane w jego dziełach – gmachach i rezydencjach, wybudowanych przez tego utalentowanego architekta i budowniczego. Jeden z jego projektów to czynny do dziś kościół parafialny pod wezwaniem św. Stanisława. Józef Aleksander Krafft przybył z Warszawy do Krzemieńca w połowie XIX wieku i pokochał to miasto. Został głową dużej rodziny, której potomkowie mieszkali w Krzemieńcu do II wojny światowej. Jej założyciel zmarł prawdopodobnie w 1868 roku podczas budowy fortalicji w okolicach Radziwiłowa. Jedyny znany mi potomek Krafftów po kądzieli to Piotr

Mysłakowski z Warszawy, chopinolog, ale i autor monografiicznego opracowania o krzemienieckich Krafftach, zamieszczonego w Biuletynie „Wspólnoty Polskiej” nr 5 z 1998 r. Teraz o Krafftach w Krzemieńcu przypomina tylko nazwa góry na południowym zachodzie miasta, która nosi ich imię – Kraftowa góra.

Wertując dalej kartki metrykalnej księgi, znajduję wzmiankę o śmierci 27-letniego żołnierza, zmarłego w miejscowym szpitalu, i serce mimo woli ściska się z żalu o tym biedaku, który samotnie, nie otoczony bliskimi, na brudnym szpitalnym łóżku zakończył swój żywot. W ogóle, trwałość życia w tych czasach była krótsza i w rubryce o śmierci 70-latka podawano „od starości”. Z fatalną regularnością powtarzały się epidemie. Wielu zmarłych to dzieci w wieku od 1 do 7 lat. Ze skąpych wzmianek można odczytać prawdziwe tragedie ludzkich losów, tym okropniejsze w swojej lakoniczności.

Zapis o ślubie młodej pary ziemian zawiera długą listę „dostojnych świadków”... Mimo woli wyobrażam sobie przepełniony kościół, uśmiechnięte twarze świadków, szczęśliwą pannę młodą, łzy wzruszenia w oczach rodziców. Po roku ta para chrzci swego pierworodnego syna, a za rok mają bliźniaków. Dziwnie, ale te krótkie notatki umożliwiają przez

stulecia zajrzeć niby przez okno do przytulnego mieszkania całkiem obcych ludzi, zapoznać się z nimi i prawie się zaprzyjaźnić. Dlatego następny i kolejne wpisy metrykalne odbiera się już prawie jak osobistą tragedię. Śmierć „mładienca”, a za tydzień znowu i znowu... Koniec idylli rodzinnej.

Hrabina Dziębowska z Ledóchowskich, żona szambelana Saskiego dworu, oczywiście należała do wyższych sfer arystokracji krzemienieckiej. Tę bezdzietną i na pewno bogatą damę często proszono, by została matką chrzestną. W parze z nią nieraz występuje ostatni właściciel wsi Bereźce, Jan Tarnowski. Nawet jej obecność na ślubie skrzętnie była odnotowywana w księdze metrykalnej. Nie wiem dlaczego, ale w mojej wyobraźni ta pani powstaje jako taka sobie sowa w szarej sukni i czepcu. Hrabina Dziębowska umarła ponurego jesienno dnia 20 listopada 1877 roku w wieku 76 lat od „wodianki” (prawdopodobnie puchliny wodnej) i pochowana została na cmentarzu bazylińskim, gdzie jej skromny nagrobek przetrwał do dziś. Przetrwała także willa Dziębowskiej, w której obecnie mieści się szkoła średnia.

Nieślubne dzieci... Od urodzenia nieśli to piętno, pozostawione w księdze metrykalnej. Dziewki Anielki nieślubny syn musiał nauczyć się z tym żyć. Takimi dziećmi nikt się nie szczycił

i nawet u szlachcianki za kumów brano żołnierza i pokojówkę. Zamazując grzechy swoich matek, nieślubne dzieci umierały częściej, niby przeczuwając, że nic dobrego ich w życiu nie czeka. Zapisy w rubryce ślubów zawsze radosne, choć trafiają się i kontrowersyjne, jak 54-letni „młodzian” i 23-letnia panna młoda. Chociaż, kto wie... Doktor Antoni Beaupré (1808-1873), wychowanek słynnego w dziejach polskiej oświaty Liceum Krzemienieckiego na Wołyniu, który za uczestnictwo w spisku Konarskiego skazany został na karę śmierci, i chociaż ułaskawiony, spędził prawie 25 lat w kopalniach na Syberii, powróciwszy do Krzemieńca poślubił w wieku 58 lat młodszą 19-letnią córkę swego przyjaciela, Sewerynę Michałowską. Był to jeden z tych związków, które – jak się mówi – układają się na niebie. U tej kochającej się pary urodziło się troje dzieci: córka Jadwiga umarła w wieku dwóch lat, pozostał syn Antoni i córka Barbara. Antoni Beaupré był przede wszystkim lekarzem, poświęcił się pracy dobroczynnej, leczył ubogich ludzi i wszyscy mu wierzyli. Wystarczało tylko rzuconych przez niego kilku słów „dobrze jest”, by uspokoić chorego i jego rodzinę. Beaupré zmarł 21 sierpnia 1872 roku na cholerę. Pamięć o nim żyje w krzemienieckich legendach, a na kolumnach kościoła dwie

jednakowe tablice z białego marmuru zdają się wołać przez wieki rozpaczą: „Córka ojcu” i „Żona mężowi”. Beaupré kazał się pochować osobno na szczycie góry Krzyżowej. Zanim uzyskano pozwolenie, jego ciało spoczywało w grobowcu Januszewskich, rodziny Juliusza Słowackiego, z którą Beaupré żył w przyjaźni. Juliusz nieraz przekazywał w swoich listach do matki pozdrowienia dla pana Antoniego. Seweryna Beaupré poświęciła się wychowaniu dzieci i nigdy nie zdjęła żałoby. Wnuk Beaupré był w okresie międzywojennym burmistrzem w Krzemieńcu. Ich potomkowie dotychczas mieszkają w Krakowie, gdzie znana jest osoba doktor ginekolog Jadwigi Beaupré.

Coraz rzadziej spotykamy się w księgach metrykalnych z nazwiskami profesorów zlikwidowanego w 1833 roku słynnego Liceum Krzemienieckiego. Oto stary Józef Uldyński, profesor historii, bardzo sympatyczna postać. Sam stary kawaler, często trzymał do chrztu dzieci przyjaciół, gdyż jego nazwisko w rubryce chrzestnych spotyka się chyba najczęściej. Książka metrykalna donosi, że zmarł w jakichś zapomnianych przez Boga Żabokriaszkach... Ciekawie, czy byli tam jego chrześniacy, by odprowadzić go w ostatnią podróż?

W rubryce o śmierci znajome nazwisko – Michalina Hreczynowa, kobieta w wieku 57 lat, umarła na gruźlicę.



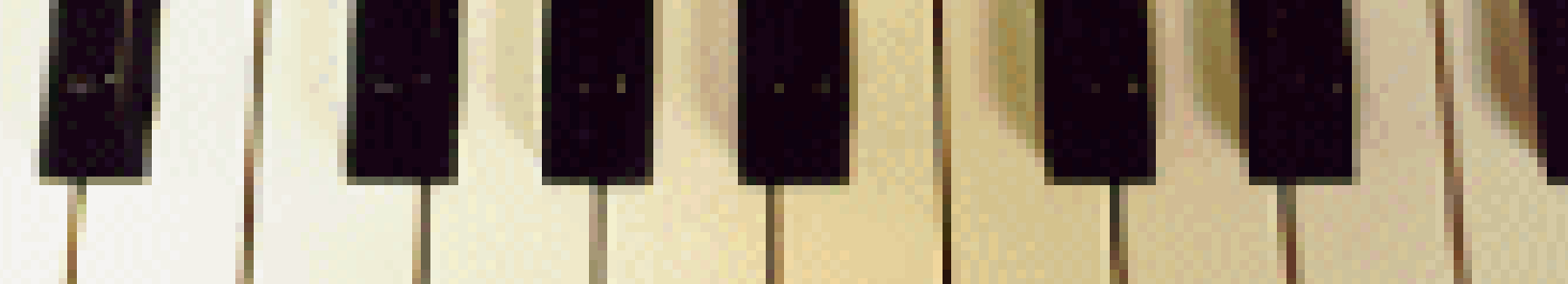
Ależ to żona Grzegorza Hreczyny, doktora filozofii, profesora algebry i geometrii w Liceum Wołyńskim, jednego z najwybitniejszych naukowców, ale zimnego w obejściu z uczniami i nie bardzo przez nich lubianego. Po jego dwóch córkach ślad zaginął, bo znikł gdzieś spomiędzy kartek księgi.

Księgi metrykalne to chyba najbardziej demokratyczne dokumenty tych czasów. Jedno przy drugim wpisane są tu nazwiska bogatych ziemian i zwykłych włóczęgów. A oto straszny wpis: „Publiczna dziewczka Agnieszka umarła w szpitalu od wenerycznej choroby. Przed śmiercią odmówiła spowiedzi i św. Komunii”. Jakie tragiczne okoliczności kazały tej nieszczęsnej w obliczu śmierci odmówić pogodzenia się z Bogiem? Okazuje się, że prawie przez pół stulecia nie było przypadków zabójstw i samobójstw, co oznacza, że nasi przodkowie mieli większy szacunek do prawa i Boga bali się więcej.

I oto, nareszcie rok 1849. Salomea Bécu została matką chrzestną dziecka Narcyza Piczmanna. To członek rodziny Józefa Franciszka Pitschmanna (1758-1834), portrecisty (pozostawił m.in. kilka wizerunków Stanisława Augusta Poniatowskiego) i profesora rysunku w Liceum Krzemienickim. Stało się to dla nas małym odkryciem, które ucieszyło najwybitniejszego badacza Słowackiego, profesora Stanisława Makowskiego, ponieważ wyjaśniło

pochodzenie dwóch portretów rodziców Juliusza Słowackiego, przypisywanych wcześniej Janowi Rustemowi [*Krzemieniec. Ateny Juliusza Słowackiego*, pod red. Stanisława Makowskiego, Warszawa 2004, s. 58]. W tym roku pani Salomei wypadło szczęście zostać matką chrzestną dwukrotnie. Następnym razem trzymała do chrztu dziewczynkę Klementynę, córkę Ludwika i Franciszki z Nowickich Piotrowskich. Na razie nie udało się znaleźć informacji o tej rodzinie, bowiem Piotrowscy to chyba najbardziej rozpowszechnione nazwisko krzemienieckie tego okresu. Równie często spotykamy nazwiska Popławskich i Izdebskich, przy czym obecne są w każdej warstwie społecznej. Rok 1855. Ręką księdza Szczepanowskiego odnotowano: Salomea Słowacka-Bécu zmarła w wieku 65 lat na cholerę. Wdowa, która dawno utraciła potomstwo. Tekst ten jest znany wszystkim badaczom twórczości Juliusza Słowackiego. Żadna rewelacja. Lecz dotknięcie palcami poźółkłej kartki z wpółzatartymi literami sprawiło, że potrafiłam głębiej odczuć całą tragedię i wielkie szczęście tej wątłej, trochę zanadto sentymentalnej kobiety, której los przeznaczył zostać matką poety-geniusza. I tak kończy się moja podróż w przeszłość, czas wracać do codziennych spraw, w XXI wiek.

HH



Czasem Tak Jest

Kasia Bartsch-Cielebon

– Wielki różowy pies podszedł do drzwi kolejnego domu. Drapnął je łapą sprawdzając twardość drewna, a potem – Dominika zamilkła – przeniknął do środka. Koniec – dokończyła kilkuminutową opowieść. Na sali zapanowała cisza. W ciemności dziewczynka nie wiedziała, jakie wrażenie zrobiła na koleżankach z kolonii.

– Wow – doszło ją w końcu z drugiej strony pokoju.

– No daj spokój, teraz to ja już w ogóle nie zasnę – Dominika słuchała z zadowoleniem. Podobało się.

– Dobrze było – usłyszała jeszcze głos Basi – ale nie wiem, czy

wiecie, że kiedy umieramy to tak naprawdę... to faktycznie nie jesteśmy sami.

– A ty co? – jakieś zaskoczenie w głosach koleżanek – kto tu mówi o umieraniu?

– No, tak zrozumiałam.

– Nie no, daj spokój – pogłos jakiejś niechęci. No, tak. Basia, ta nawiedzona.

– Ale naprawdę, kiedy człowiek umiera są przy nim zarówno siły dobra jak i zła.

– Weź się opanuj – teraz to już kilka głosów. Nawet tych, co bardziej nieśmiały.

– Jest anioł i diabeł – upierała się twardo przy swoim Basia.

– E ty, zakonnica – teraz to już

było naprawdę ostre – daj spokój, dobrze ci radzę. – Ale zrozumcie, wszyscy kiedyś umrzemy.

– Zamknij się, dobrze! – zabrzmiało to jak rozkaz. W chwilę później za słowami Dominika dosłyszała furczenie lecącego buta.

– No właśnie, daj spokój! – kilka dodatkowych głosów. Kilka dodatkowych butów. Któreś musiały trafić w cel, bo dało się słyszeć jęk dziewczyny.

– Głupie jesteście! – krzyknęła jeszcze Basia i w tym samym momencie otworzyły się drzwi sali. Jasny prostokąt światła z korytarza.

– Dziewczynki, jest cisza nocna. Proszę o spokój, bo inaczej wystawię na korytarz – odezwał się ostry głos wychowawczynie. „Sucharek”, tak ją przezywały, nie żartował. Dominika wykorzystała światło, żeby rozejrzeć się w sytuacji. Na łóżku Basi leżał jakiś sandalek i tenisówka. Żadna z koleżanek nie spała. „Sucharek” potoczyła groźnym spojrzeniem i wyszła. Jakieś mamrotania, przewracanie się na łóżkach, układanie do snu. W końcu zapanowała względna cisza. Kilka śpiących oddechów. Dominika wysunęła się spod

koca i ześlizgnęła na podłogę. Na czworakach przeszła do łóżka Basi. Pociągnęła za przykrycie koca. Cisza. Pociągnęła jeszcze raz.

– Basia – szepnęła najciszej jak się dało.

– Czego? – doszedł ją zduszony głos koleżanki..

– Basia, to, co mówiłaś... no to o tym aniele i diable to prawda?

– Prawda, daj mi spać – niechętny, obolały głos.

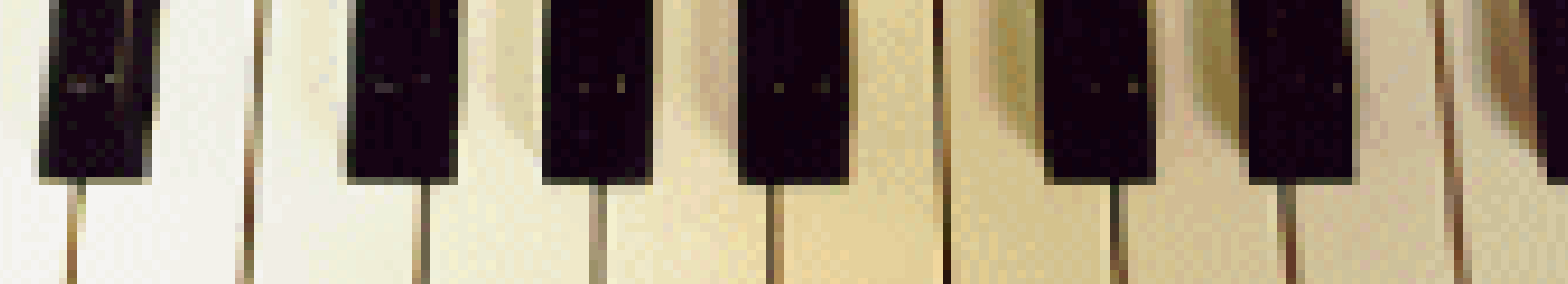
– Basia, a skąd wiesz? – nie ustępowała Dominika.

– Oj, daj mi spać. Będiesz chciała to pogadamy jutro – i Basia zawinęła się w koc.

Następnego dnia Dominika starała się jakoś do Basi zbliżyć, ale sygnały, które wysyłała koleżanka były raczej nie zachęcające. Wreszcie podczas ciszy poobiedniej dostrzegła ją siedzącą samotnie pod drzewem przy boisku. Ostrożnie podeszła. Koleżanka płakała cicho. Z zamkniętymi oczami i ze słuchawkami w uszach. Usiadła nieśmiało koło niej. Tamta otworzyła oczy i szybko starła łzy.

– Czego? – zapytała niechętnie.

– Pogadać chciałam – Basia pokiwała głową, że niby dobrze



i wyłączyła mp3.

– No?

– To, co... ten diabeł i anioł. Kiedy umieramy, to znaczy, kiedy mamy umrzeć – poprawiła się – to jak to jest? I skąd wiesz?

– Umarł ci ktoś? – zapytała rzeczowo i wątpiaco Basia.

– Tata – po chwili dodała – dwa lata temu.

– A mnie mama – powiedziała tamta – też dwa lata temu.

Dominika popatrzyła na nią. Śmierć mamy to chyba coś gorszego niż śmierć taty. Przynajmniej tak się jej zdawało. Milczenie. Wspólnie gapiły się na krzaki otaczające boisko od ulicy.

– No, a skąd wiesz o tym umieraniu

– zaczęła znowu Dominika.

– To jest o tym aniele i diable? – Basia, nie była już tak niechętna.

– Tak właściwie... – znowu zamilkła

– wiesz, tak właściwie to ja nie wiem. Podejrzewam tylko... – popatrzyła, czy Dominika nie uzna jej za oszustkę.

Dziewczynka siedziała cicho. Wyczekująco. Basia westchnęła.

– Kiedy umierała moja mama...

– powiedziała z bólem w głosie.

Tak śmierć mamy to chyba jednak

coś gorszego. Dominika nawet po swoim ojcu nie zapłakała. Basia zaczęła jakby od nowa – moja mama umierała w domu. W pokoju rodziców. Na raka. Bardzo cierpiała. Zmieniała się bardzo. Już się nie śmiała i miała taką dziwną twarz. Trochę się jej bałam. Przeważnie była z nią moja ciocia, bo tata starał się pracować. Ale kiedyś ciocia się spóźniła. – Basia popatrzyła na swoje ręce – spóźniła się i byłam z nią sama. Siedziałam z nią w pokoju. Chciałam, żeby ciocia już przyszła. Tak bardzo chciałam, żeby ciocia już przyszła. A ona nie przychodziła. Mama wyła z bólu. Nie wiedziałam, co mam robić. Zupełnie...

– No? – szturchnęła ją Dominika, kiedy stwierdziła, że przerwa była już dość długa.

– Koło mamy – zaczęła znowu Basia

– na stoliku leżał różaniec. Zawsze tam był. Wzięłam go i żeby się nie bać zaczęłam odmawiać. Tak po cichu. Żeby nie słyszała. Żeby może zasnęła. I wiesz co... – zawiesiła głos – i wiesz, że ona się uspokoiła. Przecież mnie nie słyszała. Nie widziała mnie, bo miała zamknięte

oczy. I uspokoiła się. Czy ty to rozumiesz? – odwróciła się do niej gwałtownie – to nie było lekarstwo, nie żaden zastrzyk. Tylko różaniec. Tylko. I to jeszcze tak jak umiałam. Niezbyt prawidłowo chyba. To co w tym jest? – Basia miała szeroko otworzone oczy i z napięciem wyczekiwała, co powie koleżanka. Dominika myślała intensywnie. Po chwili zaczęła:

– Mój tata umierał w szpitalu. Nie wiem, jak to tam było. Po prostu umierał. Tak właściwie to nikt mi nie powiedział, że umiera. Ale potem byłam z mamą tam u pielęgniarki, to była jakaś znajoma mamy. Ona powiedziała, że mój tata tuż przed śmiercią wyrwał sobie kroplówki z rąk, spadł na podłogę i zaczął uciekać. Oglądał się jakby coś go goniło. Podobno tak wyglądał. Ja nie wiem. Nie było mnie przy tym. Bał się. Podobno zasłaniał się rękami. I umarł na korytarzu, zanim go zdążyli zabrać na salę. Tyle wiem. Może w tym i co jest... – Dominika zamilkła.

– Nie płakałam po nim. Nie mogłam. Chyba go nie kochałam – przyznała się po chwili.

– Myślałam, że i dobrze, że się bał. Basia pokiwała głową. Cisza. Dominika, aby zatrzeć wrażenie, zapytała wskazując na mp3 – czego słuchałaś?

– Mozarta.

– Żartujesz? – całkowite zaskoczenie. Basia pokręciła głową. – Requiem, czyli msza żałobna. Jak mi bardzo smutno. To pomaga. Tata mi to dał. Kilka miesięcy po śmierci mamy. Masz, posłuchaj. Oj wiem, że Mozart to... ale posłuchaj. Jak już opowiesz swoją historyjkę. Wieczorem. Tak najlepiej.

Dominika, ociągając się, przyjęła. Dostyc szybko skończyła historię na dobranoc i odczekawszy, aż sala się uspokoi wyciągnęła odtwarzacz. Założyła słuchawki i odszukała utwór. Włączyła. No dobrze. Chór i orkiestra. Orkiestra. Orkiestra. Chór. A potem nie było już smyczków, głosów. Nie było nic. Tylko Muzyka. Ciary na plecach. Łzy, które płyną same. Chrystus umarł. Także za ciebie. Chrystus zmartwychwstał. Także dla ciebie. Umieramy, aby zmartwychwstać. Amen.

KBC

Orkiestra uczuć

Piotr Mysłakowski



W twórczości Chopina zdecydowanie przeważają utwory solowe. Dwa koncerty symfoniczne, kilka z towarzyszeniem innych niż fortepian instrumentów – reszta na fortepian solo. I zdecydowana niechęć do komponowania opery. Czemu to przypisać?

Chopin radykalnie zmienił charakter dźwięku, wydobywanego z fortepianu. Dotychczasowa muzyka fortepianowa (i wynikająca z niej technika wykonawcza) traktowała ten instrument jako zestaw określonych zawczasu poszczególnych dźwięków, przypisanych do każdego klawisza. Pianista tylko w niewielkim stopniu mógł modyfikować ich brzmienie (przeciwieństwem są np. instrumenty smyczkowe, w których to od grającego zależy charakter uzyskiwanego dźwięku). Chopinowi udało się spod klawiszów wyczarować świat dźwięków płynnych, zaskakująco śpiewnych – całkowicie odmienny od dotychczasowych przyzwyczajeń odbiorcy. Poza wszystkimi innymi walorami jego muzyki, ta nowa cecha przysporzyła mu sławy, graniczącej z uwielbieniem.

O sławie zwykle marzy każdy artysta, szczególnie ten, żyjący ze swej sztuki – gdy sława przekłada się na liczbę sprzedanych biletów, płyt czy innych albumów. Tymczasem, w wypadku Chopina, choć słuchanie jego gry stało się marzeniem wielu, było to szczęście zarezerwowane tylko dla nielicznych. Przypomnijmy rzecz oczywistą, że nie istniały żadne techniczne sposoby rejestracji dźwięku, a więc i mechanicznej reprodukcji muzyki – jedynym sposobem odbioru było słuchanie artysty „na żywo”. W interesie artysty, także materialnym, było więc jak najczęstsze

występowanie przed jak najliczniejszą publicznością. Wielcy wirtuozi, jak Thalberg czy Liszt, odbywali wielomiesięczne triumfalne tournée, zapuszczając się z koncertami do Ameryki czy na dalekie rubieże Rosji, poprzedzani prasową i towarzyską kampanią reklamową.

Chopin, ze swym pogarszającym się zdrowiem, niewiele się ruszał z Paryża; wyjątek stanowiło Nohant, uroczą wiejską posiadłość George Sand, a większa podróż (poza Anglią) to paromiesięczny, katastrofalny wyjazd na Majorkę. Był najwyraźniej typem miejskim: w Paryżu czuł się dobrze, kochał życie towarzyskie, tu miał grono uczniów i uczennic. Tu wreszcie dawał dowody swego geniuszu muzycznego – lecz w jakże odmienny od swych konkurentów sposób! W czasie swego prawie 20-letniego pobytu w Paryżu Chopin dał się namówić zaledwie na kilka publicznych, „biletowych” koncertów (do tego doszły koncerty w Anglii i Szkocji, ale tam wyjechał głównie właśnie w celach koncertowych). Jego niechęć do dużych sal, tłumnej publiczności, jarzących się świec była powszechnie znana – piszą o tym współcześni mu pamiętnikarze. Czy była to trema, kokieteria albo planowe dozowanie upragnionego szczęścia w celu zwiększenia aury niedostępności i wyjątkowości? Tak mogło się wydawać. Prawdziwe przyczyny leżały jednak gdzie indziej.

Spośród licznych opisów gry Chopina i wrażeń jakie wywoływała na słuchaczach, prawie wszystkie skupiają się na podkreślaniu „boskości”, „czaru”, „poetyczności” czy chwytającego za gardło trudnego do zdefiniowania wzruszenia. Rzecz jednak najlepiej ujął w swym wspomnieniu Aleksander Jełowicki, barwna i wybitna postać emigracji: dawny kolega Chopina z Warszawy, oficer powstania listopadowego, poseł do sejmu, emigracyjny wydawca i politycznie zaangażowany pisarz, wreszcie zakonnik zgromadzenia księży zmartwychwstańców, był tym, który

próbował nawrócić umierającego Chopina na pojednanie z wiarą (Chopin w życiu niezbyt manifestował się z religijnością). W Moich wspomnieniach wydanych we Lwowie w 1933 r., Jełowicki niewiele dostarcza nam faktów przydatnych dla biografii przyjaciela, jednak opisując jego muzyczną stronę, chyba najcelniej trafia w sedno jej tajemnicy.

Pisze m.in.: „... jak mi już smutek dokuczy, idę do Chopina; jak spojrzę na niego, to mi już weselej, bo i on tęskny, i oba pocieszamy się w tęsknotach naszych. Przywołim sobie na pamięć dawne czasy, a jak już z nich wybrnąć nie możemy, on siada do klawicymbału, ja gaszę świecę. [...] a Szopen jakby czarowną mocą zaczarowawszy swój klawicymbał, spędziwszy weń wszystkie dźwięki i wszystkie głosy, każe mu śpiewać poezję swoją i tak śpiewa, nie wiem jak długo, bom zawsze o czasie zapominał...”.

Dla Chopina muzyka to nie tylko jej skomponowanie i odegranie przed słuchaczami, choćby nie wiem jak wirtuozerskie. Prawdziwy odbiór następował wówczas, gdy słuchacz zaangażował się i nawiązał z grającym niewidzialne porozumienie, gdy wytworzyła się atmosfera duchowego przeżycia niedających się zwerbalizować uczuć. Miała to być więź wzajemna: grający grał w zależności od wyczuwanego związku duchowego ze słuchającym. Tego nie dawało się uzyskać ani w rześkiej oświetlonej sali koncertowej, ani wśród paruset przypadkowych osób na widowni. Chopin to wiedział i preferował przyćmiony salonik, z kilku czy

kilkunastoma zaprzyjaźnionymi słuchaczami. W takich warunkach potrafił wywołać ową opisywaną „czarowną” atmosferę, wprowadzić słuchaczy w rodzaj transu, którego nie zapominali do końca życia.

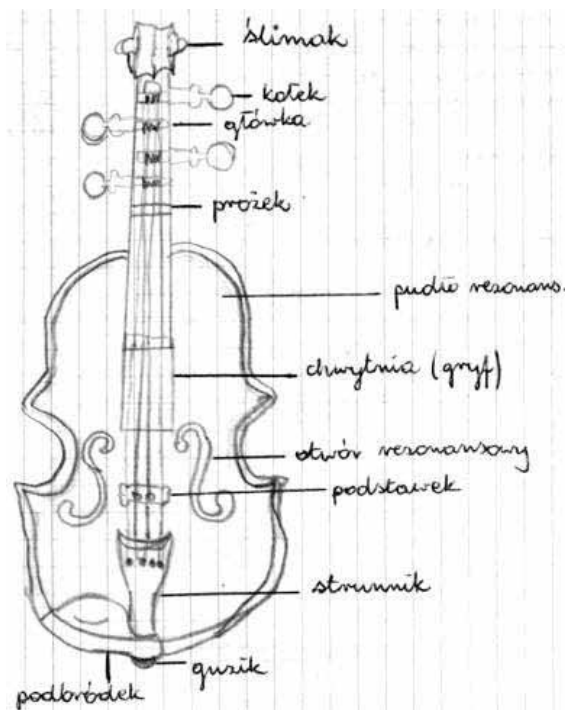
Potrafił tak grać godzinami, jak świadomy swej mocy czarownik sterując uczuciami słuchaczy. Były to seanse niepowtarzalne: grał swoje i cudze utwory, ale i improwizował na tematy, które mu się nasuwały w danym momencie. Wspomniany Jełowicki pisze w dalszym tekście o swym stanie ducha, o przenoszeniu w czasie: w świat dzieciństwa, utraconego domu, dawnych wydarzeń, zaginionych przyjaciół – w jaki wprawiała go gra Chopina. Dzisiejszego czytelnika może drażnić taki egzaltowany opis, jednak skonfrontowanie go z bardziej „chłodnymi” zapisami z epoki pozwala dać wiarę Jełowickiemu: w specyficznych, prywatnych warunkach czarodziej Chopin miał hipnotyczną prawie władzę nad słuchaczami, potrafił wprawić ich wszystkich we wspólny trans, jednocześnie dając każdemu szansę indywidualnego przeżywania własnych wspomnień czy emocji osobistych. Charakter takich seansów nie był do pogodzenia z działalnością koncertową w zwykłym znaczeniu. Tym bardziej z pracą z orkiestrą czy wykonywaniem kompozycji symfonicznych.

Chopin koncertował, choćby ze względów finansowych, jednak to nie ta strona jego bogatej osobowości muzycznej była głównym środkiem jego ekspresji. Żaden inny kompozytor czy wirtuoz nie był mu równy w sile wywoływanych emocji osobistych (nie mylić z emocjami zbiorowymi, np. tłumu fanów!). Można zaryzykować powiedzenie, że opisywane seanse były koncertami utworów na fortepian z towarzyszeniem orkiestry uczuć – nieporównywalnym mistrzem takich koncertów był Chopin, „poeta fortepianu”.

PM

Na dwie trąbki

Monika Mikołajek



Jeśli rzecz o orkiestrze, to tylko nieobecnej. Nie symfonicznej, która zniecka ogłuszy niewprawne ucho. Nie dętej promenadowej, za której orszakiem muzyków radośnie wlecz się rytm z harmonią. Także i nie o tej statkowej, która w duchu kapitańskiej odwagi pozostaje niewzruszona na widok byle szalup ratunkowych.

Bo dziś o niewielkich, przykurzonych wiekiem, nieobecnych – krakowskich orkiestrach kawiarnianych z lat 30. ubiegłego stulecia. Uważnym, spacerującym w chłodny wiosenny wieczór, gdzieś w okolicach ulic Sławkowskiej czy Floriańskiej, zdarzyć się może,

iż przy cieplejszym podmuchu wiatru usłyszą kilka urwanych dźwięków melodii, mknącej swobodnie w

czasie. Melodii rozbrzmiewającej donośnie osiem dekad temu, w którymś z dusznych lokali z dancingiem. Jak opisuje to Krzysztof Jakubowski w swej książce o historii krakowskich kawiarni i cukierni – szanujący się lokal z lat 30. nie mógł obyć się bez dancingu z orkiestrą, choć – jak sam przyznaje – z poziomem bywało jednak już bardzo różnie. Gasnący z lekka nastrój dekadencji wypełniał więc muzyką niemalże wszystkie ówczesne lokale, od tych wątpliwej sławy po te o renomie ugruntowanej. W takiej też kolejności, na krótką chwilę zatrzymam brzmienie historii kilku miejsc. Rozpocznę od kawiarni Kresy, przy ulicy Sławkowskiej 30, której niedługi los po wielokroć upamiętniony został na bezcennych kartach akt policji sanitarno-obyczajowej, jako że obecność pań lekkich obyczajów, po likwidacji dwóch ostatnich domów publicznych w roku 1920 Krakowie, stała się dla pewnych



miejsc, w tym kawiarni Kresy, cóż rzec, plagą. Być może i z tego też powodu panie te, których zawód wymagał odpowiedniej ekspozycji świetlnej, nazywano wówczas pieszczotliwe „ćmami”. Na stałe kawiarnia Kresy zatrudniała zespół mandolinistów, w sezonie zimowym zaś klienteli spod ciemnej gwiazdy rozjaśniała żywot występami orkiestry cygańskiej, przybyłej aż z dalekiego Budapesztu. Podobną niedolę, usłaną kontrolami policji sanitarno-obyczajowej, cierpiały lokale o wdzięcznych nazwach Tabarin, Alahabmra czy Locarno.

Przenieśmy się jednak o ton wyżej. Zasłużoną sławą cieszył się między innymi choćby Pavillon Bisanza, imperatora krakowskich hotelarzy i restauratorów, gdzie koncertowała zawodowa orkiestra pod kierunkiem znanego dyrygenta Adolfa Górzyńskiego. Co ciekawsze, zaściankowy Kraków rozbrzmiewał wówczas nie tylko melodiami granymi przez słynnych muzyków, lecz głównie plotkami i historiami na temat tychże.

Sensacji popularnej dostarczał przede wszystkim czarnoskóry perkusista z orkiestry jazzowej w kawiarni Esplanada – August Browne, którego występy pamiętane są ponoć w Krakowie do dziś. Otóż tenże Afrykanin, konkretem Nigeryjczyk, stał się współautorem szokującego skandalu, jako że poślubił w kościele Piotra i Pawła młodszą Polkę, Zofię Pychównę. Mówi się, że było to pierwsze mieszane małżeństwo w Polsce. Niestety, los tejże pary wił się krętą drogą. Nasz czarnoskóry pionier, choć doczekawszy się dwóch synów, nie gniazdował jednak w Krakowie zbyt długo. Po roku gród Kraka opuścił, zdaje się bez słowa wyjaśnienia, gdyż nieustępliwa żona poszukiwała go później nawet za pośrednictwem czasopisma natenczas sławetnego „Tajny detektyw”.

Sensacji kulturalnej zaś dostarczał słynny trębacz jazzowy i kompozytor Adolf Rosner, występujący w kawiarni

Dancing Bar Casanova, urządzonej w parterowych pomieszczeniach kamienicy przy ulicy Floriańskiej 32, przez braci Leiblowiczów. Lokal zaprojektowany przez słynnego katowickiego architekta Natana Schonfeda zaskakiwał lubujących się w tradycji krakauerów modernistycznym wystrojem. Zacisne łóż, wyłożone bordowym żakardem, stały się mimowolnie niemyim świadkiem setek szeptów i donośnych rozmów bywalców. W centrum uwagi pozostawał jednak okrągły podświetlany parkiet i ścianka z podwyższeniem dla orkiestry, wyłożona połyskującymi tafelkami. Adi Rosner, jak sam się nazywał, rozświetlający każdy wieczór w Casanovie był posiadaczem życiorysu niezwykle, na podstawie którego lata później stworzono zasłużenie film fabularny *Jazzman from the Gulag*. Niezwykle utalentowany, już jako 19-latek zajął miejsce drugie w konkursie jazzowym, w którym pierwsze otrzymał sam Armstrong. Był jednym z twórców jazzu w Polsce. W Casanovie zaś jego popisowym numerem była równoczesna gra na dwóch trąbkach, która przyciągała rzesze zaintrygowanych melomanów. Jako że sława Rosnera sięgała znacznie dalej niż dźwięki jego melodii, życie Adiego po wyjeździe z Krakowa obfitowało w szereg niespodzianych wydarzeń, jak choćby prywatny koncert dla Stalina w pustym teatrze. O chwilach tych jednak, nie ten artykuł.

Ot i wszystko, jedynie koloryt obrazu dusznego Krakowa lat 30., w którym kilka dźwięków jazzowej muzyki kawiarnianych orkiestr zgubiło się w radosnych krzykach rozbawionych par, stukocie tańczących trzewików, w opowieściach zarumienionych słuchaczy, tak by w końcu odnaleźć się dziś, w krótkim taktce czasu, gdzieś w pobliżu czułego ucha.

MM



**BLACKPOOL
TOWER
BALLROOM
ERIC DELANEYS
BIG BAND SOUND**

FRIDAY-SUNDAY EVENINGS
SATURDAY and SUNDAY LUNCHTIMES

**DANCING
TO THE MIGHTY
WURLITZER ORGAN**

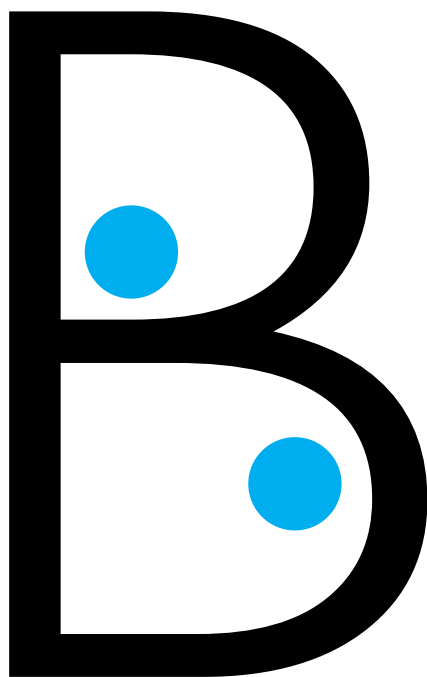
Resident Organist
Phil Kelsall

ALL FOR THE PRICE OF ADMISSION



Blackpool

Agnieszka Kaczorowska



Blackpool to letniskowe miasto położone nad morzem w północno-zachodniej części Anglii. Jest tam ogromne wesołe miasteczko, mnóstwo salonów gier, hoteli i pensjonatów typu B&B, piaszczyste plaże, a także Winter Gardens - opera, teatr, miejsce wielu wydarzeń kulturowych. Dla tancerzy hasło „Blackpool” znaczy przede wszystkim największy i najbardziej prestiżowy festiwal tańca na świecie. Zjeżdżają się tam najlepsze pary z całego

świata, wszyscy sędziowie, trenerzy, ludzie od lat związani z tańcem towarzyskim, którzy nieraz zapisali się w historii.

Blackpool Dance Festival, bo tak brzmi jego pełna nazwa, swoje początki miał już w 1920 roku i odbywa się pod koniec maja. Przez lata zyskiwał na popularności, aby teraz być na samym szczycie listy turniejów, w których trzeba wziąć udział. Kojarzony jest nie tylko ze sportową rywalizacją, ale przede wszystkim z pięknem jaki ten rodzaj sztuki niesie. Cudowne, stylowe wnętrze, ogromny parkiet, balkony naokoło sali, czerwony dywan, klimat i atmosfera

wielkiego wydarzenia. Najważniejszą rolę jednak odgrywa **ORKIESTRA**.

Już gdy się idzie po schodach prowadzących na salę, widać cały sprzęt ustawiony na pięknie wyeksponowanej scenie. Czekają na ludzi, którzy będą grać dla najlepszych. Tak! Nie każdy może mieć tę przyjemność, by zatańczyć przy orkiestrze. Tancerze pojawiają się dopiero po wstępnych eliminacjach, z których wyłania się około setki (w zależności od kategorii) najlepszych par. Dla wyjaśnienia dodam, że spośród czterystu, pięciuset... Marzeniem każdego tancerza, który jedzie na festiwal do Blackpool jest pokazać swoje umiejętności przy muzyce na żywo.

Na niewielu turniejach tańca na całym świecie pojawiają się muzycy. Prawie zawsze tańczy się do utworów puszcanych z głośników. To wielka szkoda, bo przecież, aby tańczyć, najważniejsza jest wspaniała muzyka. To właśnie dźwięki, które słyszy tancerz, odbijają się od jego serca i nadają kształt całości wykonywanych przez niego ruchów i wydobywających się z niego emocji. To utwory, do których mu się najlepiej tańczy, chodzą po głowie miesiącami. Po powrocie z Blackpool wszyscy nużą te melodie cały kolejny rok, aż do następnego festiwalu. Raczej nikt, kto choć raz nie był w Winter Gardens pod koniec maja, nie zrozumie tego, jaka magiczna jest na tym turnieju muzyka, dlatego serdecznie polecam Blackpool, jeśli kochacie taniec i jesteście gotowi na niesamowite przeżycia.

Na początku znałam Blackpool Dance Festival tylko z opowiadań i nie potrafiłam zrozumieć idealizacji z jaką się spotyka. Pojechałam, zobaczyłam, zatańczyłam, poczułam, usłyszałam. Po prostu, według mnie, ten turniej swoją renomę i fantastyczną atmosferę, która tam panuje, zyskał dzięki **ORKIESTRZE**. Wszyscy tam wracają z utęsknieniem, aby tańczyć, oglądać, uczestniczyć, ale myślę, że nie do końca zdają sobie sprawę dlaczego. Ja sądzę, że to sprawka właśnie fenomenalnej orkiestry. To dzięki niej goszczą w naszych sercach najpiękniejsze emocje. Potem wraz z muzyką w duszy i głowie rozjeżdżamy się do domów, czekając na to, aż szybko minie czas do kolejnego Blackpool.

AK



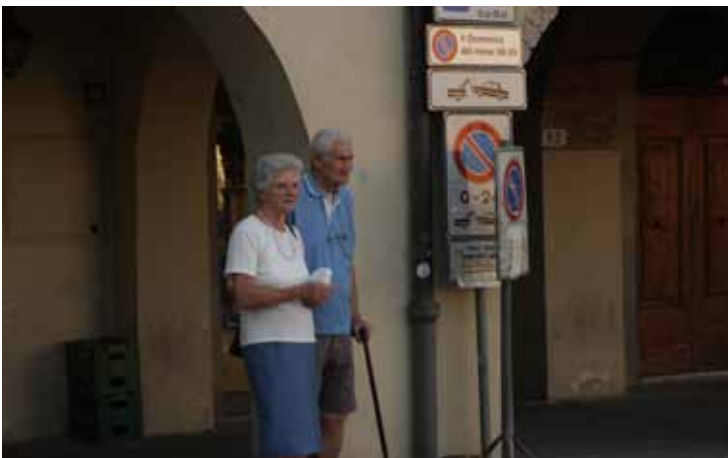






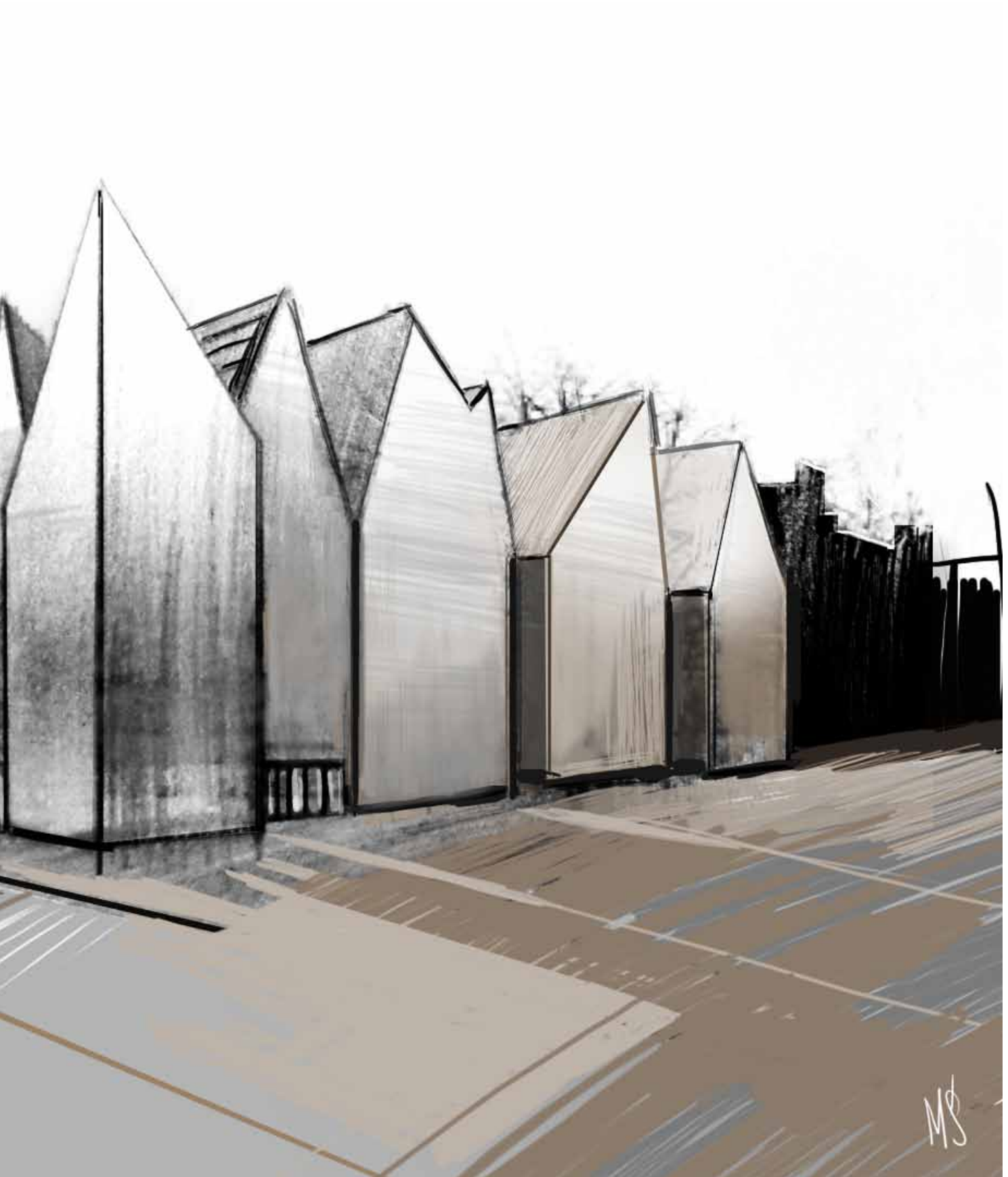
Foto Katarzyna Bogucka



Szczecińska harmonia sztuki

 Matylda Śłosarska





Tylko odpowiednie połączenie różnorodnych elementów tworzy imponującą całość. Rytm, dźwięki, harmonia, rewelacyjne dopełnienie, niezwykle finał i ostatecznie wielkie emocje. Świat muzyki to prawdziwa energia zamknięta w instrumentach orkiestry.

Odpowiednim miejscem dla orkiestry są specjalnie dostosowane przestrzenie. Nowo powstałe filharmonie to coraz częściej bardzo nowoczesne budynki, o bardzo ciekawych koncepcjach i założeniach. Często główną inspiracją dla architektury jest sama muzyka.

W Szczecinie powstaje nowa filharmonia im. Mieczysława Karłowicza. Jest to mocna i bardzo charakterystyczna bryła o interesującym kształcie. Całość może nasunąć skojarzenia ruchomego zapisu elektronicznych equalizerów dźwięku. Sylwetka filharmonii wygląda jak wykres rytmu, napięć fal akustycznych, które osiągnęły swoją maksymalną wartość nadając ostry, geometryczny wyraz. Autorem projektu jest studio Barozzi Veiga z Barcelony. Projekt wygrał I miejsce w międzynarodowym konkursie i zyskał wielu zwolenników.

Głównym założeniem było stworzenie obiektu, który będzie nawiązywał do krajobrazu Szczecina oraz do bezpośrednio otaczających go budynków, które posiadają wielospadowe dachy. Lokalizacja została wybrana na miejscu dawnego domu koncertowego, zniszczonego w czasie wojny. Budowa nowej filharmonii, która ma się zakończyć w połowie 2013 roku, jest najważniejszą inwestycją miasta od kilkadziesiąt lat.

Główne wejście zlokalizowane jest od strony ulicy Małopolskiej i prowadzi do otwartej przestrzeni, reprezentacyjnego holu o wysokości trzech kondygnacji. Architekci traktują budynek filharmonii jak instrument muzyczny, budują nowy żywy organizm, którego sercem jest muzyka. Rozbudowana forma budynku inspirowana była wyraźnymi pionowymi podziałami budynków miasta, strzelistością licznych wież i wieżyczek.

Głównym materiałem jaki został wykorzystany do powstania elewacji było lśniące, mleczne szkło, które pozwoliło osiągnąć efekt transparentności. Wnętrze można oglądać z zewnątrz, natomiast kiedy patrzymy na świat od środka mamy wrażenie jakby całą przestrzeń przykryła delikatna mgiełka. Szkło elewacji podkreśla kontrast z otoczeniem.

Przy projektowaniu nowej filharmonii nie zapomniano także o świetle, które odgrywa ważną rolę i zmienia wygląd całego budynku. Refleksy świetlne wędrują po elewacji, rozświetlając napotkane elementy.



W nocy cały budynek jest podświetlony w taki sposób, aby ostateczny efekt kojarzył się z księżycową poświatą. Uzyskano wrażenie świecenia od środka. We wnętrzach sale i holl doświetlane są naturalnym światłem ze świetlików dachowych oraz oświetleniem sztucznym specjalnie zaprojektowanym dla tych przestrzeni.

Koncepcja wnętrza została starannie przemyślana przez autorów. Minimalistyczne, powściągliwe, niczym nie zakłócone przestrzenie tworzą strefę idealną dla odbiorcy sztuki. Zadbano o idealne warunki dla gości jak i dla pracowników, zaczynając od części zaplecza technicznego, aż po sekwencję reprezentacyjnych sal koncertowych. Główny holl jest monumentalną, wielofunkcyjną przestrzenią, gdzie mogą być organizowane wystawy, spotkania czy artystyczne imprezy. Foyer to miejsce dające wachlarz możliwości zmiany ułożenia w zależności od potrzeb. Główne sale koncertowe mogą pomieścić 300 i 800 osób, można je modyfikować wprowadzając miejsca dla publiczności w miejsce chóru, jeśli nie uczestniczy w danym koncercie. Akustyka oraz regulacja pogłosu możliwa jest dzięki specjalnym ruchomym ekranom, zamontowanych przy stropie. Prostopadłościenna sala kameralna może być dowolnie kształtowana, można demontować część konstrukcji w zależności od potrzeb konkretnego wydarzenia kulturalnego.

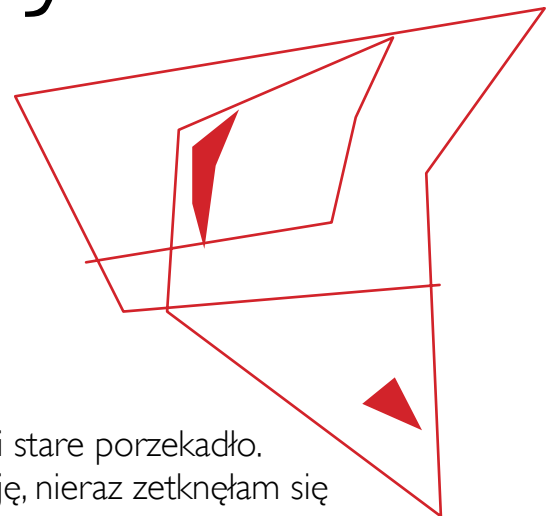
Wnętrza filharmonii mają być eleganckie, ale proste – pozbawione zbędnych elementów dekoracyjnych lub niepotrzebnych podziałów. W dużej sali koncertowej zaprojektowano posadzkę wykonaną z dębowego drewna malowanego na czarno, ściany pokryją metalowe panele w złotym kolorze. Mała sala pozostanie cała w czerni, natomiast holl główny, restauracja oraz sala konferencyjna wykończone będą lakierowanym i polerowanym betonem. Użyto mocnych zdecydowanych materiałów, które w dużych przestrzeniach podkreślą nastrój skupienia oraz pomogą w kontemplacji sztuki.

Nowa filharmonia szczecińska ma stać się miejscem spotkań muzycznych, kulturalnych, miejscem otwartym i dostępnym, gdzie oprócz muzyki podziwiać będzie można malarstwo, fotografię, rzeźbę, grafikę, a wszystko to w ramach galerii „Harmonia Sztuki”. Architektura ta stanie się instrumentem sama w sobie. Kryształowa, rozświetlona forma z pewnością zachęci do współuczestnictwa w kontemplacji prawdziwej sztuki.



Człowiek, Który Wie Wszystko

Karolina Dyja



„Każdy z nas zna kogoś, kto jest chodzącą encyklopedią” – mówi stare porzekadło. Rzeczywiście, w ciągu dwunastu lat nauki i teraz, kiedy już studiuję, nieraz zetknęłam się z takimi osobami.

Zazwyczaj są one miłe i pomocne. Wszystko wiedzą, zawsze przygotowują się do zajęć, świetnie się organizują, robią estetyczne, kolorowe notatki, które przed sesją cieszą się dużym wzięciem (w końcu kto by tracił czas na odcyfrowywanie nowoczesnego połączenia głogolicy i pisma runicznego z własnych zeszytów, kiedy można szybko odkserować treści wykładów od porządnego kolegi/koleżanki), odpowiedzą ci na każde pytanie i naprowadzą na właściwą ścieżkę, kiedy przysłowioowo „zagubisz się w akcji”. Ludzie – ideały po prostu. Chętnie korzystamy z ich pomocy, zasobnych głów i komputerowej wręcz pamięci, dzięki nim jakoś łatamy luki w organizacji. Czasami wręcz zginęlibyśmy, gdyby nie oni.

A jak wygląda nasza wdzięczność? Doceniamy naszych „wybawicieli”?

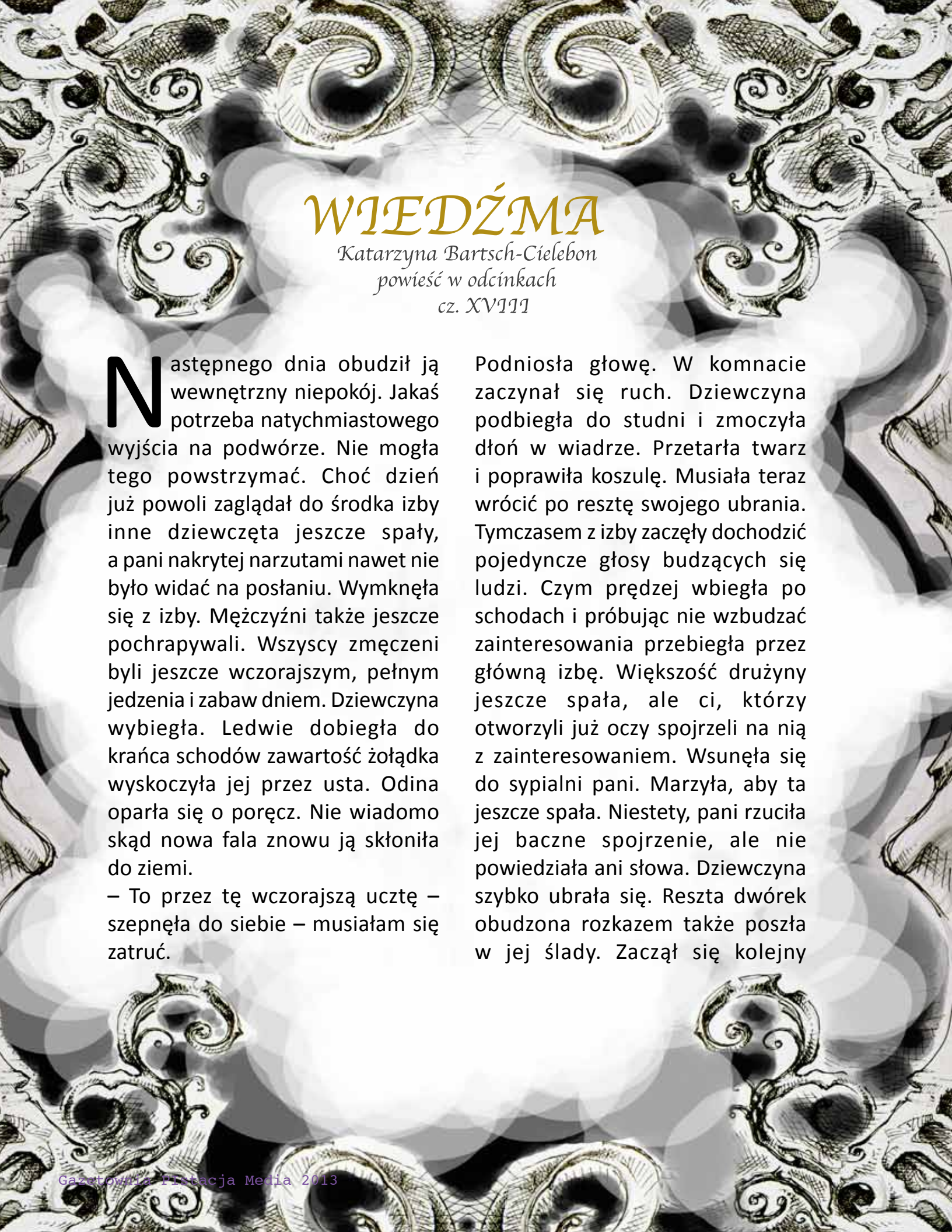
Oj... Po dokonaniu króciutkiego rachunku sumienia stwierdzam, że bywa z tym baaardzo krucho. Zwracanie się do Ludzi, Którzy Wiedzą Wszystko wydaje się naturalne, jak jedzenie i picie. W końcu oni wszystko wiedzą (i na pewno chętnie się z nami tym podzielą)! Często do głowy nam nie przychodzi, że można im podziękować, traktować jak równorzędnego partnera, a nie „niewolnika”, który bez szemrania wykona za nas większość pracy.

A co, jeśli Osoba, Która Wie Wszystko poczuje się wykorzystywana i – nie daj Boże – odmówi?

Wtedy zaczyna się coś, co moja mama nazywa obrazą majestatu. Wpadamy w złość, jesteśmy urażeni i oburzeni taką niesprawiedliwością (no, bo jak to: zawsze pomagał, a teraz nie chce?!). A poza tym, do kogo my się zwrócimy w razie problemów?

Dlatego od niedawna pracuję nad sobą. Nie będę już traktować Ludzi, Którzy Wiedzą Wszystko jak darmowego pogotowia ratunkowego. Czasem warto zadać sobie trochę trudu i samemu podumać, jak rozwiązać nasz problem. Nawet jeśli mamy pod ręką encyklopedię, skarbnicę wiedzy o ludowych metodach leczenia przeziębień i słownik wszelakich pojęć w jednym.

KD



WIEDŹMA

Katarzyna Bartsch-Cielebon
powieść w odcinkach
cz. XV111

Następnego dnia obudził ją wewnętrzny niepokój. Jakaś potrzeba natychmiastowego wyjścia na podwórze. Nie mogła tego powstrzymać. Choć dzień już powoli zaglądał do środka izby inne dziewczęta jeszcze spały, a pani nakrytej narzutami nawet nie było widać na pościeli. Wymknęła się z izby. Mężczyźni także jeszcze pochrapywali. Wszyscy zmęczeni byli jeszcze wczorajszym, pełnym jedzenia i zabaw dniem. Dziewczyna wybiegła. Ledwie dobiegła do krańca schodów zawartość żołądka wyskoczyła jej przez usta. Odina oparła się o poręcz. Nie wiadomo skąd nowa fala znowu ją skłoniła do ziemi.

– To przez tę wczorajszą ucztę – szepnęła do siebie – musiałam się zatruć.

Podniosła głowę. W komnacie zaczynał się ruch. Dziewczyna podbiegła do studni i zmoczyła dłoń w wiadrze. Przetarła twarz i poprawiła koszulę. Musiała teraz wrócić po resztę swojego ubrania. Tymczasem z izby zaczęły dochodzić pojedyncze głosy budzących się ludzi. Czym prędzej wbiegła po schodach i próbując nie wzbudzać zainteresowania przebiegła przez główną izbę. Większość drużyny jeszcze spała, ale ci, którzy otworzyli już oczy spojrzeli na nią z zainteresowaniem. Wsunęła się do sypialni pani. Marzyła, aby ta jeszcze spała. Niestety, pani rzuciła jej baczne spojrzenie, ale nie powiedziała ani słowa. Dziewczyna szybko ubrała się. Reszta dwórek obudzona rozkazem także poszła w jej ślady. Zaczął się kolejny



dzień. Na dzisiaj przewidziany był powrót gości do swoich domów. Pani w pośpiechu zaczęła krząć się przy śniadaniu. Różni ludzie podchodzili do niej i zagadywali na różne tematy. Odina nie słyszała tych rozmów, zajęta wraz z innymi dziewczynami stawianiem zastawy. Łysiejący, bez jednego zęba na przedzie także wdał się w rozmowę z panią.

– Jak myślisz, poprosi o mnie? – zapytała szeptem Emilia, ściskając Odinę za łokieć.

– Na pewno – odparła, widząc, że spojrzenia mężczyzny i pani skierowały się w ich stronę.

– Ale jestem szczęśliwa. To najpiękniejszy dzień w moim życiu. Kurt ma całą wieś. Ma dochody takie, że moja matka będzie dumna – westchnęła

cichutko Emilia, zamykając oczy. Odwróciła się tyłem do tamtych – nie mogę na to patrzeć – szepnęła na usprawiedliwienie. Nie zauważyła, że twarz pani zmieniła się nie do poznania. Pobladła. Usta zacisnęły się jej tak mocno, że aż zbiełały. Odina przyglądała się zdziwiona.

– No i jak, stoją tam jeszcze? – otrzeźwiło ją nagle pytanie Emilii. Zupełnie zapomniała o koleżance. Popatrzyła na nią i potwierdziła – och, nie mogę się doczekać, aż pani mi o tym powie.

Dzień jednak mijał, a pani jej nie wzywała. Emilia tłumaczyła Odinie, że na pewno jest jeszcze zbyt zajęta gośćmi. Dziewczyna potakiwała. Zdziwiła się, gdy nagle to ona, a nie Emilia została wezwana przed oblicze pani. Koleżanka popatrzyła

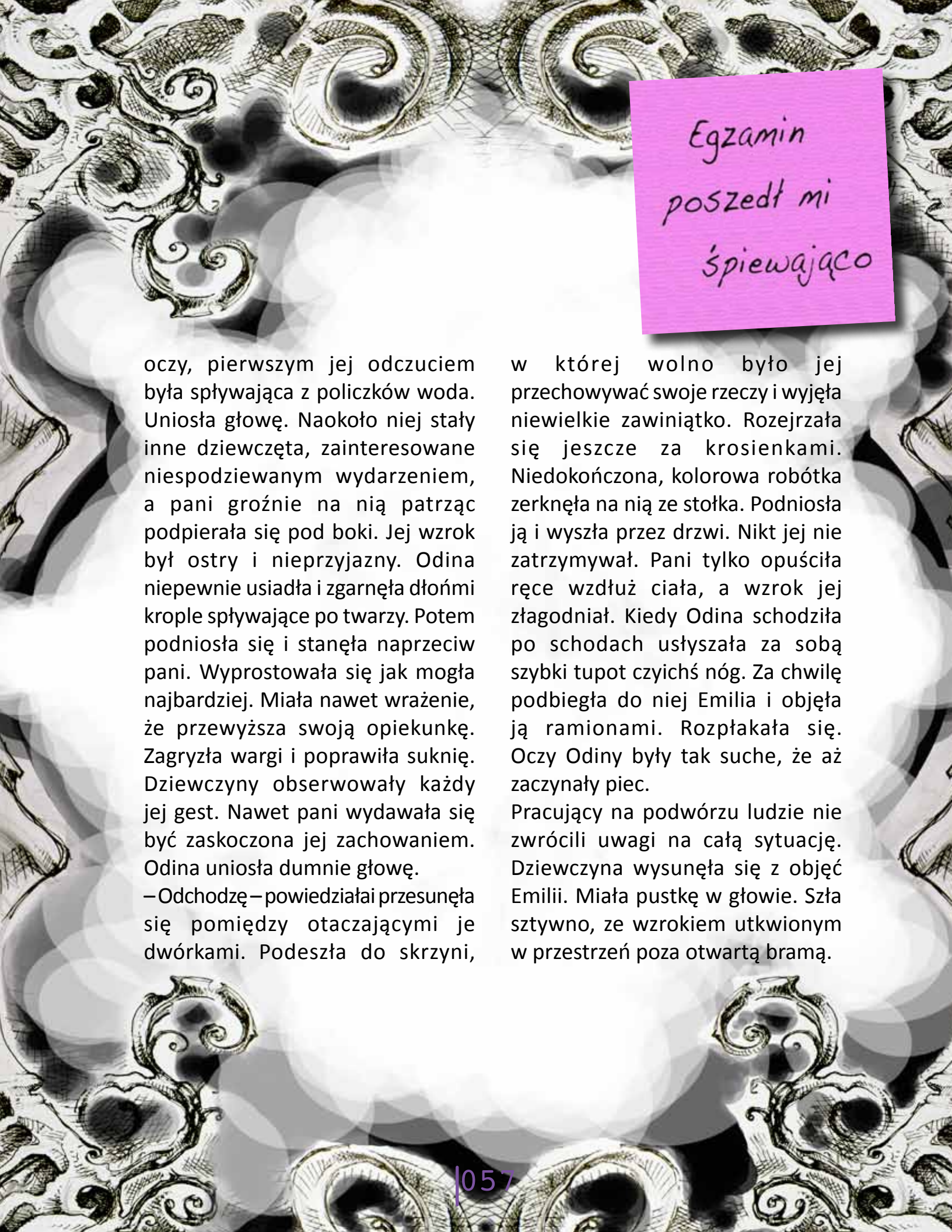


na nią z wyrzutem. Odina wbiegła szybko po schodach. W izbie jednak nikogo nie było. Niespotykana sytuacja w tak ruchliwym domu. Posłyszała jednak głosy dobiegające z sąsiedniej izby. Podeszła kierowana zwykłą ciekawością. Rozpoznała podniesiony głos pani i zły głos pana. Prowadzili bardzo ożywioną rozmowę. Grube drzwi tłumiły słowa i dziewczyna nic nie rozumiała. Odsunęła się przezornie. Nagle drzwi z trzaskiem się otworzyły.

– Ożeń się wreszcie i skończ z tym – dosłyszała głos pani, gdy z sąsiedniej izby szybkim krokiem wyszedł Thomas. Zobaczył ją i cofnął się nagle. Dziewczyna ostrożnie weszła do komnaty. Pani stała na samym środku. Koło jej stóp leżał płócienny worek.

Nieduży, spłowiaty od słońca. Kiedy zobaczyła Odinę, schyliła się i podniosła go.

– A jesteś nareszcie – prawie krzyknęła – wiem, że spotykasz się z moim synem! Ale dość tego! Nie wiedziałam, że jesteś tak bezczelna... aby pod moim dachem spędzać z nim noc. Jesteś pozbawiona wstydu. Zupełnie. I to pod moim dachem! Co ty sobie wyobrażasz. Czego chcesz... na co liczysz, że co? – krzychała, coraz bardziej zła brakiem odpowiedzi ze strony Odiny. Ta nie spuściła nawet wzroku. Patrzyła tylko na trzymany przez opiekunkę worek. Zalały ją złe wspomnienia. Wspomnienia, o których chciała zapomnieć. Nie słyszała tego co mówiła pani. Słowa, przeczucia, myśli zlały się jej w całość. Zemdląca. Kiedy otworzyła



Egzamin
poszedł mi
śpiewająco

oczy, pierwszym jej odczuciem była spływająca z policzków woda. Uniosła głowę. Naokoło niej stały inne dziewczęta, zainteresowane niespodziewanym wydarzeniem, a pani groźnie na nią patrząc podpierała się pod boki. Jej wzrok był ostry i nieprzyjazny. Odina niepewnie usiadła i zgarnęła dłońmi krople spływające po twarzy. Potem podniosła się i stanęła naprzeciw pani. Wyprostowała się jak mogła najbardziej. Miała nawet wrażenie, że przewyższa swoją opiekunkę. Zagryzła wargi i poprawiła suknię. Dziewczyny obserwowały każdy jej gest. Nawet pani wydawała się być zaskoczona jej zachowaniem. Odina uniosła dumnie głowę.

–Odchodzę– powiedziała i przesunęła się pomiędzy otaczającymi je dwórkami. Podeszła do skrzyni,

w której wolno było jej przechowywać swoje rzeczy i wyjęła niewielkie zawiniątko. Rozejrzała się jeszcze za krosienkami. Niedokończona, kolorowa robótka zerknęła na nią ze stołka. Podniosła ją i wyszła przez drzwi. Nikt jej nie zatrzymywał. Pani tylko opuściła ręce wzdłuż ciała, a wzrok jej złagodniał. Kiedy Odina schodziła po schodach usłyszała za sobą szybki tupot czyichś nóg. Za chwilę podbiegła do niej Emilia i objęła ją ramionami. Rozpłakała się. Oczy Odiny były tak suche, że aż zaczynały piec.

Pracujący na podwórzu ludzie nie zwrócili uwagi na całą sytuację. Dziewczyna wysunęła się z objęć Emilii. Miała pustkę w głowie. Szła sztywno, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń poza otwartą bramą.



Marianna wracała ścieżką ze wsi. Była zmęczona po całonocnym czuwaniu przy rodzącej kobiecie. Ciężko przyszło jej to trzecie dziecko. Było źle ułożone i trudno było mu wyjść na świat. A kiedy wreszcie się pojawiło, sine i z szeroko rozwartymi usteczkami, nie wydało nawet jednego pisku. Marianna pogładziła swoją dłoń, zmęczoną od nacierania noworodka, uśmiechnęła się. To pomogło, dziecko zaczęło popłakiwać i otworzyło oczka. Była wtedy tak szczęśliwa, jakby to jej własne się urodziło. Teraz marzyła tylko, aby położyć się i zasnąć. Dotarła do zagrody i zdziwiła się widząc uchylone drzwi. Pies zdawał się być zadowolony. Rozejrzała się bacznie po okolicy, szukając jakichś wskazówek do tej sytuacji.

Ale nic więcej nie zauważyła. Nikt ze wsi, bo zawsze czekali przed chatą. Nie mogła to być Lena, która zapalała do niej głęboką nienawiścią. Pies by ujadął i kręcił się niespokojnie. Tak przynajmniej zrobił, kiedy poprzednio Lena się pojawiła i próbowała wejść do domu. Odganiał ją od drzwi. I tak zastała ją Marianna. Na jej widok Lena prychnęła tylko i spokojnie odeszła. Sytuacja się więcej nie powtórzyła, ale kto wie, co jeszcze tamtej przyjdzie do głowy. Marianna nie była na nią zła. Szanowała ją. Sama pewnie też by walczyła, żeby zachować przy sobie ukochanego mężczyznę. Biorg? Serce jej zadrżało. Od tamtego dnia widywali się tylko przelotnie podczas jej wizyt we wsi. Kilka ulotnych spojrzeń. Może?



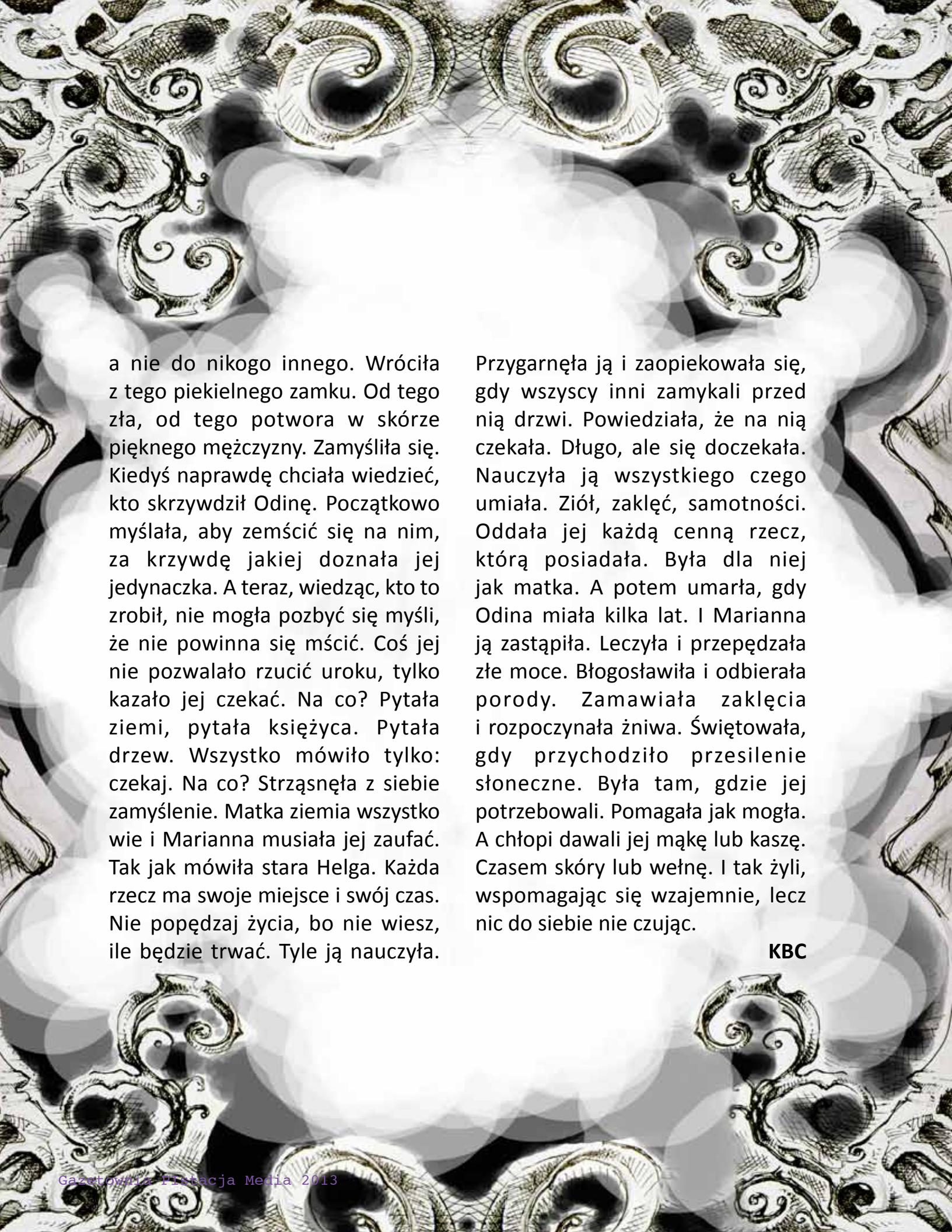
A może to? Marianna nie zastanawiając się dłużej weszła do chaty. Na posłaniu z podciągniętymi nogami siedziała Odina. Wpatrzona w punkt na przeciwległej ścianie nie zwróciła uwagi na wchodzącą matkę.

– Odina – wykrzyknęła radośnie Marianna.

Nie zwróciła większej uwagi na dziwne zachowanie swojej córki. Podbiegła do niej i objęła ją ramionami. Dziewczyną wstrząsnął dreszcz i rozplakała się. Szlochała wpijając paznokcie w ramię matki.

– Nie myślałam, że ludzie są tak okrutni – szepnęła nagle Odina i ponownie wtuliła się w ramiona matki. Marianna nie pytała. Przyjdzie czas. Kotysała się tylko miarowo. Niedługo później obie, równie utrudzone zasnęły.

Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy Marianna otworzyła oczy. Pogładziła włosy śpiącej córki i podniosła się z posłania. Podniosła zrzuconą na klepisko torbę i położyła ją na stole. Rozpaliła ogień na palenisku i cicho, aby nie budzić dziewczyny wyszła przed chatę. Nabrała powietrza całą piersią i wypuściła je wolno. To właśnie jest szczęście. Reszta się nie liczyła. Niech ludzie ze wsi gadają. Niech Lena knuje przeciwko niej. To było teraz nieważne. Tylko ona i Odina. Pogładziła psa, który przysiadł jej koło nóg. Dobrze, wierne stworzenie. Tyle razy ją wspomagał. Był jej jedynym przyjacielem przez te wszystkie dni, kiedy była tu sama. Możliwe, że Odina ma już swoje plany na przyszłość, ale przecież wróciła do niej. Do niej,



a nie do nikogo innego. Wróciła z tego piekielnego zamku. Od tego zła, od tego potwora w skórze pięknego mężczyzny. Zamyśliła się. Kiedyś naprawdę chciała wiedzieć, kto skrzywdził Odinę. Początkowo myślała, aby zemścić się na nim, za krzywdę jakiej doznała jej jedynaczka. A teraz, wiedząc, kto to zrobił, nie mogła pozbyć się myśli, że nie powinna się mścić. Coś jej nie pozwalało rzucić uroku, tylko kazało jej czekać. Na co? Pytała ziemi, pytała księżyca. Pytała drzew. Wszystko mówiło tylko: czekaj. Na co? Strząsnęła z siebie zamyślenie. Matka ziemia wszystko wie i Marianna musiała jej zaufać. Tak jak mówiła stara Helga. Każda rzecz ma swoje miejsce i swój czas. Nie popędzaj życia, bo nie wiesz, ile będzie trwać. Tyle ją nauczyła.

Przygarnęła ją i zaopiekowała się, gdy wszyscy inni zamykali przed nią drzwi. Powiedziała, że na nią czekała. Długo, ale się doczekała. Nauczyła ją wszystkiego czego umiała. Ziół, zaklęć, samotności. Oddała jej każdą cenną rzecz, którą posiadała. Była dla niej jak matka. A potem umarła, gdy Odina miała kilka lat. I Marianna ją zastąpiła. Leczyła i przepędzała złe moce. Błogosławiła i odbierała porody. Zamawiała zaklęcia i rozpoczynała żniwa. Świątowała, gdy przychodziło przesilenie słoneczne. Była tam, gdzie jej potrzebowali. Pomagała jak mogła. A chłopci dawali jej mąkę lub kaszę. Czasem skóry lub wełnę. I tak żyli, wspomagając się wzajemnie, lecz nic do siebie nie czując.

KBC

SMAKI ŻYCIA

KONKURS LITERACKI

FOTOREPORTAŻ

*Każda chwila jest
ważna ta słodka
i ta kwaśna.
Zatrzymaj chwile
w kadrze.*

*Ostateczny termin
nadsyłania prac
30 czerwca 2013
godz. 23:59*

LITERACKI
*Posmakuj życia
literata i opisz
słodko-kwaśną
rzeczywistość.*

Stowarzyszenie PI-stacja

Twoją myśl prześlemy innym
www.pi-stacja.org

FOTOGRAFICZNY



Wszystko gra

Anna Ciemniecka

Turkot walizek, stukot obcasów, gwizdy pociągów wjeżdżających na stację z ładunkiem nowo przybywających lub wywożących, ruszających w dal. Megafony rozbrzmiewające starannie modulowanymi informacjami wdzierającymi się w ostatnie rozmowy i poczekalniane drzemki. Szum wielu głosów żegnających się, witających lub gawędzących w międzywojazowej przestrzeni. Nawoływania, zwoływania. Cisza machającej dłoni. Muzyka podróżna.

Orkiestra: pasażerowie, kasjerzy, maszyniści, konduktorzy, pracownicy kolei. Początek utworu – przybycie do hali dworcowej, koniec – opuszczenie tej W Innym Miejsu Świata. Pomiędzy dźwięki obowiązkowe: bilety, informacje, rozkłady jazdy, bagaże lżejsze i cięższe, przemieszczanie się, wsiadanie, znikanie peronu, przesuwanie się pejzażu za szybą, wysiadka na stacji końcowej oraz wszelkie dodatkowe, zależne od utworu, melodii, czasu, składu wykonawców, ich fantazji, umiejętności i potrzeb. Interwały: oczekiwanie. Rytm, tempo, dynamika: zróżnicowane, harmonika również, jednak pożądana – harmonijna.

UTWÓR I. EUROPEJSKI DWORZEC WIELKOMIEJSKI

Wielojęzyczny gwar, barwny tłum sprawnie przemieszczający się przez halę, sunący ruchomymi schodami, wjeżdżający windami, wygodnymi podjazdami, tuptający po stopniach. Białe laski przesuwają się po białych, wypukłych liniach przecinających podłogę dworca, poprzedzając niewidomych pasażerów, bezproblemowo poruszających się po nim za pomocą tej siatki nici Ariadny. Wszystko jest łatwo dostępne i klarownie oznakowane, zarówno odpowiednim rodzajem „wypukłości”, jak i wizualnie oraz głosowo.

W pędzie, ale i porządku mijają się głowy z zaplecionymi setkami czarnych warkoczyków, wełnistymi dredami, bielejące skromnymi koczkami, falujące rudościami, brązami, płowymi blondami, okutane turbanami, okryte kolorowymi chustami, zasłonięte czarnymi płachtami, gładko spływające lśniąco czernią, sterczące fioletami i pomarańczami, puszące się i krótko przyszczyżone, świecące łysiną. Mijają się eleganckie garnitury, polarowe bluzy, powiewne tęczowe sukienki, ciemne czadory, modne sieciowe ciuszki, skromne koszulki i wytarte dżinsy, barwne sari, odświeżone tybetańskie czuby, bordowo-żółte mnisie szaty, szare habity. Przy automatach z biletami wymieniają się dłonie czekoladowe, żółtawe, różowe, blade, opalone, usiane piegami, gładkie, pomarszczone, większe i mniejsze. Biletomatów tych jest dużo – stoją w strategicznych miejscach, umieszczone na różnych wysokościach, umożliwiających każdemu dostęp i szybkie kupienie biletu, zmniejszające do minimum kolejki przy kasach. Psy przewodnicy jadą całkowicie za darmo. Kas nie ma w głównej hali, są w specjalnym, przestronnym pomieszczeniu i również są dostosowane wysokością lady do podróżnych – tych stojących i tych siedzących. Jeden z pracowników dworca także korzysta z wózka inwalidzkiego. Kasjerzy mówią w wielu językach, niektórzy również „migają”. Z łatwością można zasięgnąć informacji niezależnie od zmysłu, którym chce się do tego posłużyć – są one wyświetlane na wielu tablicach, odczytywane po naciśnięciu odpowiedniego przycisku, udzielane przez życzliwych pracowników. Pasażerowie poruszający się na wózkach lub z wózkami oraz z innymi utrudnieniami mają do swojej dyspozycji komfortowe podjazdy, podesty, niezawodnie działające windy i rampy oraz pomocnych pracowników



dworca. Nie mają problemów z dotarciem na peron i wejściem do pociągu. Na końcowej stacji czeka już na nich pracownik dworca, poinformowany przez obsługę kolejową. Wszelkie wcześniejsze telefony z prośbą o pomoc w czasie podróży są darmowe. We wszystkich przedziałach są fotele, które można złożyć, by swobodnie ustawić wózek. Toalety i lokale usługowe są dostosowane do potrzeb wszystkich podróżnych.

W hali pod ścianą gra grupa ciemnoskórych bębniarzy, do których spontanicznie dołączył jasnoskóry saksofonista. Dwie skośnookie nastolatki filmują, dwie blondwłose zatrzymały się na kilka podrygów. Jest ruchliwie, sprawnie, czysto, kolorowo, życzliwie, dźwięcznie. Harmonia polifoniczna. Wszystko gra.

UTWÓR 2. EUROPEJSKI DWORZEC WIELKOMIEJSKI

Raczej monojęzyczny gwar, z rzadka pobrzmiwający obcy język, który często nie potrafi znaleźć podobnego sobie w kasowym okienku, ani nawet w informacyjnej budce. Z porozumieniem się z kasjerem problem mają także niesłyszący podróżni, a także próbujący zakupić bilet w jednej z wielu długich kolejek pasażerowie poruszający się na wózku. Ci ostatni z powodu wysokości okienka uniemożliwiającej aspirującemu do odbycia podróży nawiązanie kontaktu wzrokowego ze sprzedającym uprawnienia do przejazdu. Biała laska niewidomego podróżnego obija się o kosz, kiosk i reklamę, nie informuje go także o niczym nie zapowiadanej krawędzi schodów. Brakuje jasnych oznaczeń i wskazówek.

Mnisi w szafranowych szatach długo są odprowadzani zdziwionymi spojrzeniami i przez niektórych nieprzychylnymi komentarzami. Z podobnym nadmiernym zaciekawieniem i brakiem sympatii prezentowanej przez część współpodróżnych spotykają się dwaj niezwykle barwnie ubrani Afrykańczycy.

Po schodach prowadzących w dół, jedynej drodze na większość peronów, dwóch roślących mężczyzn znosi wózek ze śpieszącym się na swój pociąg prawie już niedoszłym pasażerem. Na pytanie o windę/podjazd/rampę pracownicy dworca, jeśli już uda się ich znaleźć, odpowiadają przecząco, ewentualnie w czasie przyszłym, w trybie przypuszczającym. Żeby dostać się do pociągu podróżny liczy więc znów na szczęście nie ominięcia go spojrzeniem przez współpodróżujących i ich życzliwe oraz silne ramiona. Wagon, w którym ma podróżować jest wagonem towarowo-bagażowym, linie kolejowe posiadają wprawdzie specjalnie dostosowany do potrzeb osób niepełnosprawnych wagon, ale akurat nie jest on przygotowany do drogi. Ze spełnieniem swojej potrzeby fizjologicznej lepiej mu się wstrzymać do bardziej pomyślnych okoliczności.

Pod ścianą dworca młody chłopak brzdąka na gitarze sugestywnie położywszy przed sobą przybrudzoną czapkę oraz kartonik z napisem określającym cel tego koncertu, sugerujący preferowany przez niego napój.

Jest ruchliwie i głośno. Dysharmonia kakofoniczna. Wszystko zgrzyta.

AC

2007

Grajek

Świerszczu graj
Kto cię usłyszy?
Słuchają trawy
Słucha wiatr

Świerszczu graj
Słuchają kopki siana
Słucha las

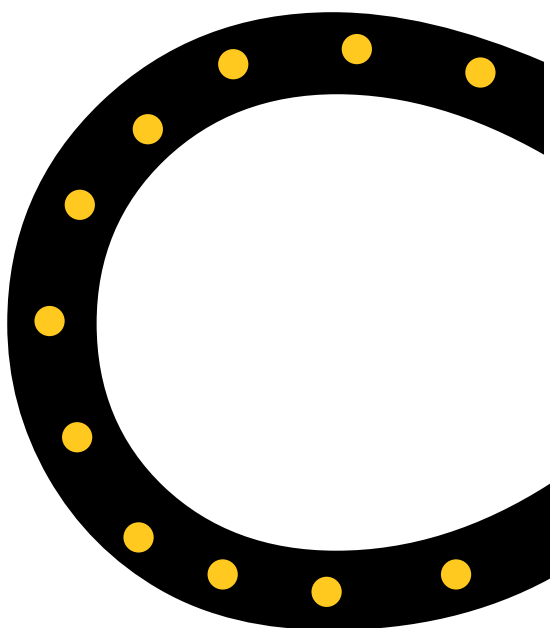
Świerszczu graj
Słuchają chmury
Słucha niebo

Świerszczu graj
Słucham ja
I moje serce

Janina Kądziołka-Filip

Człowiek kulturalny

Paweł Radźko



o to znaczy być człowiekiem kulturalnym? Ludźmi jesteśmy z konieczności, ale to czy będziemy kulturalni (w całym ogromie znaczenia tego słowa) zależy tylko od nas samych. Widać to doskonale po przykładach negatywnych: szarej masie poddanej tylko walce o przetrwanie. Czy zatem ewolucyjny i jakże naturalny popęd rozprzestrzeniania swoich genów jest sprzeczny z pragnieniem sięgania tam gdzie wzrok nie sięga? Nie, wręcz przeciwnie, nieraz działa w tym samym kierunku. Ale co to oznacza?

Oznacza to chyba mniej więcej tyle co patrzeć nieco dalej niż we własny talerz, niż w swoje odbicie w szklanym ekranie telewizora. Posiadać umiejętność troszczenia się o pewną ideę większego wspólnego dobra oraz o własny dobry gust. Co do pierwszego to byłoby tym szanowanie swojego bliźniego, uprzejmość, dobre wychowanie, zainteresowanie sprawami ogólnie pojętej polityki oraz społeczności, w której uczestniczymy. Czy ten ideał trzeba osiągnąć? Raczej niespecjalnie, a nawet nie jestem zbyt przekonany, by ktoś go osiągnął lub by było to możliwe, choć z pewnością żyłoby się łatwiej. Co nie znaczy, że nie warto spróbować. Otwarcie drzwi przed kobietą niewiele kosztuje, tak jak miłe zachowanie na drodze. Drugim punktem w tej idyllicznej wizji człowieka



kultury (który powoli zaczyna przypominać postaci grane przez Clarka Gable'a) jest dobry gust. Nie inaczej, ponieważ tylko dzięki niemu możemy zasłużyć sobie na dobre mniemanie innych. Nie warto być cały czas sobą, choćby dlatego, że nikt nie jest idealny. Dlatego warto słuchać ambitnej muzyki, wyjść od czasu do czasu do filharmonii, podziwiać sztukę, ubrać się modnie, ale sztywnie oraz być bogatym filantropem pełnym wdzięku i obytym w świecie poliglota, który zwiedził prawie cały świat (bo i po cóż miałby jechać do Lichenia?). Jednak jakiś cichy szept podpowiada mi, że ostatnia rola leży nieco poza zasięgiem przeciętnego człowieka pracującego i może on pozostać przy wypadach do filharmonii lub opery.

Gdyby jednak zechciałby być dyrygentem własnego losu (a najlepiej także wpływać na losy innych), wtedy łatwo poznać jego wartość, ponieważ jest tak wielka, że ciężko ją przegapić. Tych kilka prostych rad powinno pomóc komukolwiek zostać „człowiekiem kultury” (pod warunkiem, że ktoś taki istnieje lub może istnieć, a wszystko to nie jest stekiem bzdur lub pobożnych życzeń).

PR

STARY PULSAR I WSZECHŚWIAT

Michał Lewandowski

„Kosmos... Ostateczna granica...”, pusta, zimna i przeraźliwie cicha przestrzeń. Ale czy aby na pewno? Dźwięk, tak jak go słyszymy, musi pochodzić z jakiegoś źródła, które drga i swoim drganiem wprawia w drganie ośrodki, w którym się znajduje, oczywiście o ile ten ośrodek jest sprężysty, czyli wszelkiego typu gazy, ciecze i ciała stałe. Przestrzeń kosmiczna jest próżnią, tak więc nie jest ośrodkiem sprężystym i pomimo że wszystkie filmy science-fiction starają się nam usilnie przekazać dużo hałasu, poprzez różnego rodzaju orkiestry zgrzytów i wybuchów statków kosmicznych, to nie rozchodzi się tam dźwięk, lecz panuje martwa cisza. Ale dźwięk możemy też przesłać inaczej, falą elektromagnetyczną, czyli tak jak w radiu, a fale elektromagnetyczne w przeciwieństwie do fal dźwiękowych w próżni rozchodzą się bardzo dobrze.

We wszechświecie istnieją obiekty zwane gwiazdami neutronowymi. Są to gwiazdy na ostatnim etapie ewolucji gwiazd masywnych, czyli takich, których

masa jest równa około 10 masom Słońca. Są bardzo gęste, a ich głównym składnikiem są neutrony, stąd też nazwa gwiazda neutronowa. Powstają jako pozostałości po supernowych. W niektórych przypadkach materia opadająca na taką gwiazdę po wybuchu rozkręca ją do ogromnych prędkości, a co za tym idzie wzrasta jej wartość pola magnetycznego. Naładowane cząstki są przyśpieszane w tym polu do prędkości relatywistycznych, czyli bliskich prędkości światła, i dzięki temu wysyłają promieniowanie elektromagnetyczne skupione w wąskich stożkach i wysyłane z biegunów magnetycznych gwiazdy.

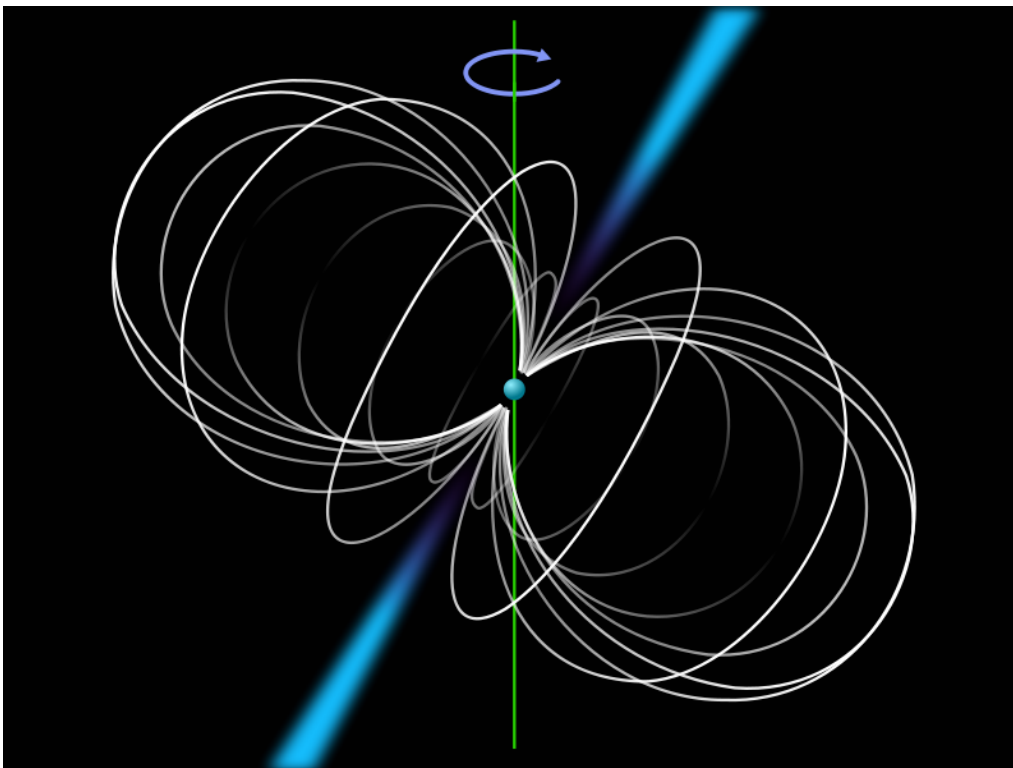
Oś obrotu gwiazdy jednak nie pokrywa się zwykle z osią pola magnetycznego, tak samo jak w przypadku Ziemi, gdzie biegun magnetyczny nie pokrywa się z biegunem geograficznym, przez co stożki promieniowania kręcą się nieustannie. Przyporównać to można do latarni morskiej świecącej w nocy i kręcącej się dookoła. Wtedy, gdy światło padnie na nas to je widzimy, następnie stożek światła kieruje

się w inną stronę przez co przestajemy go widzieć. Tak samo wygląda to w przypadku promieniowania wysyłanego z pulsarów. Kiedy pulsar się kręci może się zdarzyć, że od czasu do czasu trafimy w taki stożek wysyłany przez biegun magnetyczny i będziemy go „widzieć”. Przez to, że pulsar się kręci dodatkowo będziemy go widzieć i tracić z oczu cyklicznie. Cykliczność ta jest niezwykle regularna, co można w różny sposób wykorzystać, pomiar czasu, badanie mas itp.

Dla przyziemnych i przydatnych dla zwykłego człowieka rzeczy, pulsary można wykorzystać jako najdokładniejsze na świecie zegary. Odstępy czasu w jakich pulsar wysyła promieniowanie jest niezwykle uregulowane, więc pomiar czasu

przy ich pomocy będzie dokładniejszy niż w przypadku jakichkolwiek innych rzeczy. I tak oto w Gdańsku w 2011 roku powstał pierwszy na świecie zegar pulsarowy, który w momencie powstania był najdokładniejszym zegarem na świecie, mierzącym czas 10 razy dokładniej niż zegary atomowe. Ale gdzie w tym wszystkim dźwięk? Wiązki promieniowania elektromagnetycznego możemy zamienić na dźwięki w taki sam sposób, jak robimy to z falami radiowymi w radiu. Nie są to oczywiście rozpoznawalne przez nas melodie czy piosenki, ani nawet wiadomości od innych cywilizacji, jednak pozwala nam to w jakiś sposób usłyszeć kosmos i stwierdzić, że nie jest taki do końca cichy.

ML



Rysunek 1

Schemat pulsara: Zielona linia symbolizuje oś obrotu gwiazdy, białe linie są to linie pola magnetycznego wokół niej, a błękitne stożki są to kierunki wysyłania promieniowania elektromagnetycznego z pulsara.



Pochwała harmonii

Dorota Kotowicz

Jestem stroicielem instrumentów. Sprawdzam jak rezonują, naciągam zwiotczałe struny, zwracam im dawną, zapomnianą czystość brzmienia. Przychodzą do mnie stare i nowe, pękate, nadęte primadonny wiolonczele, melancholijne skrzypce, mięsiste, rubaszne kontrabasy i ciepłe, domowe altówki. Czasem zdarza się nawet nadęty, ważny fortepian, który zawsze wzbudza w innych poczucie nieadekwatności przez swój status instrumentu-orkiestry. Strojenie wymaga dyscypliny i wrażliwości, dwóch czynników, bez których nie zajdzie tajemnicza przemiana materii w sztukę. Człowiek tchnie

życie w martwy przedmiot, a ja mu w tym pomagam. Mieszkam w dużym mieście, w mieszkaniu, nie w alchemicznej pracowni. Jestem stroicielem instrumentów ludzkich. Tak naprawdę, pracuję jako nauczyciel języków, lecz wszystkie przytoczone wcześniej metafory zdają się również odnosić do esencji mej pracy. Pomagam ludziom przemówić na nowo, wrócić do początku sprzed przyzwyczajień, przełamać i w końcu wyrazić siebie. Przez nieśmiałe próby poprzez niezrozumiałe trzaski i zgrzyty po pierwsze frazy mniej lub bardziej muzyczne aż do osiągnięcia pełni środków wyrazu. Nasze

ciała rezonują jak instrumenty: francuski narzuca wyprostowaną, kontrolowaną postawę baletu, rezonuje w klatce piersiowej, gardle i ustach, nie wybacza; angielski pozwala na większą swobodę, gdyż z racji różnorodności akcentów przybliżona wymowa nie może być poczytana za słabość. I oczywiście polski, którego dźwięki niejednokrotnie niesłyszalne dla obcych, szumiące jak wiatr; kłaskające jak ptaki rankiem, trzeszczące jak drewniana posadzka w domku nad jeziorem zmuszają ludzkie instrumenty do ponadludzkiego wysiłku. Powietrze krąży i śpiewa w pudłach rezonansowych ludzkich ciał.

Uczenie się języka nie polega wyłącznie na zgłębianiu prawideł wszechwładnej Gramatyki, to również wejście w świat wszechogarniającej Magii Dźwięków. To nauka pokory i siły. To spostrzeganie, absorbowanie i przetwarzanie inności w coś własnego i dobrze znanego. To walka z twardym tworzywem materii, wytrwałość wobec odroczenia gratyfikacji. Człowiek gra, ucząc swe ciało posłuszeństwa, zmagając się z własną słabością i z własną naturą skrzypiec, wiolonczeli lub fortepianu, po to by w końcu uczynić to co nowe częścią siebie, a przez to poczuć swą siłę. Lecz również by w końcu wzbogacić się o kontakt z drugim, mówiącym innym językiem, człowiekiem.

Czuwam nad tym procesem, sprawdzam napięcie i reguluję natężenie wibracji strun, koryguję niedociągnięcia, ale tak naprawdę walczę i pomagam walczyć z interpretacją mitu Wieży Babel jako uosobieniem pychy,

podziału i niemożności porozumienia. Gdyż ta sama Wieża Babel, przedstawiana w formie schodów do niebios, a zniszczona Bożym gniewem (gdyż odwagę tworzenia Stary Zakon utożsamiał z Pychą), dała nam możliwość rozwoju. Widzę, że nauka nowego języka to niejednokrotnie psychomachia, walka ze sobą samym w rezultacie której powstaje nowa jakość, nowa pieśń. Jest ona zawsze zaproszeniem do twórczości i dzielenia się sobą z innymi, bo skoro posiadamy własności instrumentów współbrzmienie nie musi być katastrofą. Może być symfonią w wykonaniu orkiestry, w której każdy instrument ma swoje miejsce pod warunkiem, że gra w zgodzie ze swą najgłębszą naturą i wyznaczonymi zasadami harmonii. Potrafimy się porozumieć i tworzyć razem, pomimo różnorodności języków. Stworzyć muzykę sfer.

Między językiem i muzyką, człowiekiem i instrumentem istnieje wiele podobieństw: w południowych Indiach, w stanie Keralā odkryto tajemnicze mantry, przekazywane ponoć w prawie niezmienionej formie przez tysiąclecia w obrębie tych samych rodzin, z ojca na syna, a wykonywane podczas uroczystości na cześć boga ognia. Jest to język naszych praprzodków. Mantry te egzemplifikują podobno język w jego przed-językowym kształcie, są „nielingwistyczne” – nie znaczą, ale są podporządkowane pewnym regułom powtarzalności. Podobno najlepiej można je porównać do śpiewu ptaków...

DK



M JAK MAGNOLIA

Magnolia jest stara, piękna, pożyteczna i smaczna. Jest jedną z najstarszych roślin na ziemi. Magnolie prawdopodobnie pojawiły się na Ziemi jako jedne z pierwszych roślin kwitnących już ponad 100 mln lat temu. Naukowcy znaleźli ich skamieniałości w skałach trzeciorzędowych sprzed 36-58 milionów lat, a więc sprzed epoki lodowcowej. Badania dowodzą, iż ogromne lasy magnolii, tulipanowców, ambrowców i miłorzębów okrywały wówczas cały rejon Arktyki. Późniejsze zlodowacenia zniszczyły je prawie całkowicie. Lasy te ocalały jedynie na wschodzie Ameryki Północnej, w Chinach, Japonii i Korei, to właśnie tam dzisiaj znajdziemy największe skupiska niemal wszystkich istniejących 128 gatunków magnolii. **W Chinach** kwiaty magnolii są uważane za symbol czystości i szczerości, a w **Korei** uznane są za kwiat narodowy.

W Polsce szlak kwitnącej magnolii można zobaczyć w **Cieszynie**, gdzie pierwsze okazy posadzono ok. 1800 roku. Mieszkańcy tego miasta od stuleci kochają te rośliny. Swoją nazwę magnolia otrzymała od Linneusza dla upamiętnienia XVII-wiecznego francuskiego botanika **Pierre'a Magnola**.

Obecnie na całym świecie w parkach i ogrodach można dostrzec wiosenną porą kwiaty zwiastujące cieplejsze dni i krótsze noce. Uprawia się głównie rozłożyste magnolie



drzewiaste o wysokości 8-15 m lub niższe 3-4-metrowe drzewka i krzewy. Wśród wielu odmian znajdziemy też takie dorastające maksymalnie do 2 m sprawdzające się w małych ogródkach.

Budowa kwiatów magnolii jest równie piękna co prymitywna. Nie ma w nich podziału na płatki korony ani działki kielicha, w ich przypadku mówimy o tepalach, które umieszczone są w dwóch lub kilku okółkach po 3-6 sztuk. **Kwiaty magnolii** zapylane są przez chrząszcze, jest to wynikiem tego, że kiedy powstawał rodzaj *Magnolia*, nie istniały jeszcze pszczoły ani motyle. Kwiaty magnolii nie wydzielają nektaru, a jedynie słodką, nektaropodobną wydzielinę. **Pąki kwiatowe** zawiązują się na drzewach już jesienią i są charakterystycznie owłosione. Pąki różnią się wielkością: mniejsze to pąki liściowe, a większe to pąki kwiatowe. Powietrze wewnątrz zamykającego się na noc kwiatu jest o 10 stopni cieplejsze niż na zewnątrz. Nagrzanie to następuje w ciągu dnia wskutek intensywnego oddychania wewnętrznych części kwiatu. Zacisłość tego wonnego pomieszczenia wabi owady, które po całej nocy wylatują rano utyłane w magnoliowym pyłku.

Magnolia może również zagościć w **domowej apteczce**. Pączki i kora magnolii lekarskiej (*Magnolia officinalis*), magnolii nagiej i japońskiej od wieków wykorzystywane są w ziołolecznictwie. Napary z kory zawierają magnokurarynę i stosowane są w leczeniu **kaszlu i przeziębienia**. Korę zdejmuje się z 20-letnich drzew, suszy najpierw w cieniu, a później w słońcu, parzy i sortuje (osobno korę z pnia, osobno z korzeni i osobno z gałęzi), a potem miesza z innymi ziołami, ponieważ w większych ilościach jest toksyczna. Kora amerykańskich gatunków magnolii również ma właściwości lecznicze. Używa się do tego celu magnolii wielkokwiatowej (*M. grandiflora*) i wirginijskiej (*M. virginiana*).

Magnolia ma także swoje zastosowanie **w kuchni**. Płatki magnolii nagiej (*Magnolia denudata*) są marynowane i dodawane do przyprawiania ryżu, podobnie jak sproszkowane liście magnolii japońskiej. Młode liście i kwiaty magnolii szerokolistnej (*M. obovata*) gotuje się i zjada ugotowane, bądź przygotowuje się z nich smaczne danie zwane hoba miso. Z magnolii robi się także grilowane gołąbki: farsz z pasty sojowej, porów i grzybów shii-take zawija się w całe wysuszone liście magnolii i grilluje, dzięki czemu aromat liści przenika do farszu, a gotowe danie podawane jest z ryżem.

From the series:

My Travels

*Ireland - Heaven, Nature,
God*

Agnieszka Thomassen



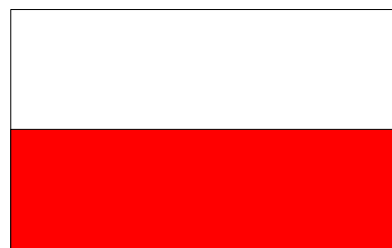
Travelling from the Dublin Airport to town of Sligo, passing by the green hills, a saying of Anne Frank crossed my mind, who said that: "For the ones who are afraid, lonely or unhappy, the best medicine is to go outside, some place where it is possible to stay in silence with the sky, nature and God. Only then we can feel that everything is like it supposed to be". Looking back in my past, I feel that there is a lot of truth in this saying. Ever since I remember, I had spent my childhood with my grandmother and grandfather in their village and it was the place where I felt safe. I had waited for each vacation already one month ahead of my trip. I had been dreaming of immersing myself in the green forest all over again, building dams and bridges made from the picked branches of trees, and drinking water from a stream after my laborious work was finished. I couldn't wait until finally, I would find myself in my grandparents' garden, a place that for a little girl was so big that it was her whole world. In this world I'd spent hours on watching nature, satisfying my curiosity. In this wonderful backyard I'd held baby chickens in my hands, I'd seen the birth of a foal, or had done autopsy of a Colorado beetle, in

Z serii:

Moje podróże

*Irlandia - Niebo, Natura,
Bóg*

Agnieszka Thomassen



Jadąc z lotniska w Dublinie do miejscowości Sligo, przejeżdżając przez zielone wzgórza, przyszło mi na myśl powiedzenie Anne Frank, która stwierdziła że: „najlepszym lekarstwem dla tych, którzy się boją, są samotni lub nieszczęśliwi jest wyjście na dwór, gdzie gdzie można przebywać w ciszy, z niebem, naturą i Bogiem. Tylko wtedy odczuwamy, że wszystko jest tak jak powinno”. Wiem z własnego doświadczenia, że jest w tym powiedzeniu dużo prawdy. Odkąd pamiętam, spędzałam dzieciństwo u babci i dziadka na wsi i tam czułam się najbezpieczniej. Oczekiwałam na każde wakacje już na miesiąc przed wyjazdem. Marzyłam o tym, żeby ponownie zanurzyć się w zieleń lasu, budować tamy i mosty z zerwanych wiatrem gałęzi drzew i pić wodę ze strumyka po zakończeniu żmudnej pracy. Nie mogłam się doczekać kiedy w końcu znajdę się w ogrodzie u dziadków, który dla małej dziewczynki wydawał się być tak wielki, że był całym jej światem. To w tym świecie potrafiłam godzinami podziwiać przyrodę, zaspokajając swoją ciekawość na jej temat. To właśnie w tamtym cudownym dla mnie miejscu trzymałam w rękach małe kurczaczki, widziałam jak rodzi się żreback, czy dokonywałam sekcji zwłok





which I found a very long tapeworm. Already then, I had been fascinated with the way everything that surrounds us lives, moves around, and behaves. I had carried out my discoveries from dawn to dusk, everybody knew where I was digging and searching, nobody was worrying about me. And everything in the garden took care of my needs. When I was cold, I would be hiding in a small glass house to warm up. When I was hungry, I would enjoy the freshness of the fruits and vegetables that I washed in the rainwater before eating. Everything that grew in the garden was edible for me. Sweet wild strawberries had a nectar flavor; sweet peas were chubby and juicy. Strawberries, although covered with sand, were delicious even when they were green, and the carrots were the best when they were not fully grown. I liked Mirabelle plums just because of their name, and their association with some garden princess, while red currents reminded me of the beads in a folk dress and with time I also got used to their acid flavor. The most beautiful was wrinkled cabbage that, like skirts spread on the ground, constituted the ornament of the garden. My music was the combination of the wind, rattling poppy-heads and singing birds. My mantra sounds were sometimes interrupted by a horse's hooves tapping the rhythm out on the cobble road, cow's loud mooing, or the sound of geese chasing misbehaving children in the far distance. The grandparents' garden had been my oasis of peace, an opportunity to break away from the world, from the city, from the turmoil, from crowds of people who are always rushing somewhere, of cars stinking of gasoline, factories, and human problems. As a child I was overwhelmed with burdens of the adult world, and in nature, I had discovered my quiet, modest, soothing my soul ally.

Driving through the Irish land, I found my village that I have lost somewhere during the race



stonki, z której wyciągnęłam długiego tasiemca. Już wtedy fascynowało mnie w jaki sposób to co nas otacza żyje, porusza się, zachowuje. Moje odkrycia realizowałam od świtu do nocy. Każdy wiedział, gdzie myszkuję, nikt się o mnie nie martwił. Kiedy było mi zimno, chowałam się do małej szklarni, żeby się ogrzać. Kiedy byłam głodna, rozkoszowałam się świeżością owoców i warzyw, które myłam w wodzie deszczowej. Wszystko co rośło w ogrodzie było dla mnie jadalne. Słodkie poziomki przypominały mi smak nektaru, a groszek był gruby i soczysty. Truskawki, choć otoczone piaskiem, były pyszne nawet w kolorze zieleni, a marchewki najlepsze były kiedy jeszcze całkowicie nie urosły. Mirabelki podobały mi się najbardziej z nazwy, która kojarzyła mi się z jakąś księżniczką ogrodową, natomiast czerwone porzeczki przypominały mi korale w stroju krakowskim - z czasem polubiłam też ich kwaśny smak. Najpiękniej wyglądała pofałdowana kapusta, która niczym rozłożone na gruncie spódniczki, stanowiła ozdobę ogrodu. Moją muzyką było połączenie dźwięków wiatru, grzechoczących makówek i śpiewu ptaków. Mantrę czasem przerywały kopyta końskie, wystukujące rytm na kamiennej ulicy, muczająca donośnym głosem krasula lub odgłos gęsi, goniących niegrzeczne dzieci gdzieś w oddali. Ogród dziadkowy stanowił dla mnie oazę spokoju, oderwania się od świata, od miasta, od zgiełku, od tłumów ludzi, którzy ciągle gdzieś pędzą, od śmierdzących benzyną samochodów, fabryk i ludzkich problemów. Już jako dziecko byłam przygnieciona życiem dorosłych, a w naturze odkryłam swojego cichego, skromnego, kojącego duszę sprzymierzeńca.

Przejeżdżając przez państwo irlandzkie, odnalazłam swoją wieś, którą gdzieś zatraciłam w biegu życia. W ciągu trzech godzin mojej podróży naliczyłam około 50 domków, oddzielonych od siebie olbrzymią przestrzenią rozciągających się





of life. During the 3-hour drive I counted about 50 houses that were separated by vast spaces, of stretched into eternity green hills and curvy roads. The sheep were grazing here and there, scattered across the grass like white cotton balls. All of it was connected in one coherent piece with fresh air, energy, the Fifth Element. Not knowing when, the old castles and long stonewalls, crumbling here and there, awaken my melancholy, aroused my imagination. How did people live in here? What did they do? What was their day like? What did they eat? Did they have an easy access to education? The longer I was driving, the more questions came to my mind. The history, literally, stood out in front of my eyes, and all that I needed was some more concrete data that would accurately outline the ancient times.

To create a picture from the past, I needed details. I was discovering the details slowly, arriving first in the hotel, built in 1881. Generally, that century was characterized by rich artistic creativity and creative inventions that changed the world. Pablo Picasso was born in Spain; many of the impressionists flourished in France (A. Renoir, C. Monet); the light bulb (T. A. Edison), and the telephone (A. G. Bell) were discovered. In Poland, Frederic Chopin created his beautiful music compositions, and in England a famous naturalist – Charles Darwin, created the theory of evolution. One of the most important discoveries was a steam turbine, invented by an Irish/British engineer, C.A. Parsons, and the establishment of, used until today, the scale measuring the wind force- the Beaufort Scale, developed by a famous Irish man. Among the interesting inventions of the century were also: matches, jeans, aspirin, safety pins, and chewing gum. Creativity and inventions in the 19th century contrasted with numerous violent conflicts. In Ireland, it was mainly the time to fight for freedom



w nieskończoność zielonych pagórków i krętych dróg. W różnych miejscach pasły się owieczki, porozrzucane po trawie jak białe kłębki waty. To wszystko było połączone w jedną całość świeżym powietrzem, energią, Piątym Elementem. Nie wiedząc nawet kiedy, stare zamczyska i długie mury kamienne, rozpadające się to tu to ówdzie, wzbudziły we mnie melancholię i rozbudziły wyobraźnię. Jak żyli tutaj kiedyś ludzie? Co porabiali? Jak wyglądał ich dzień? Jak przetrwali zimę? Co jedli? Czy mieli dostęp do edukacji? Im dłużej jechałam, tym więcej pytań przychodziło mi do głowy. Historia dosłownie rysowała się przed moimi oczami, wszystko co potrzebowałam to jakieś bardziej konkretne dane, które dokładniej nakreśliłyby mi dawne dzieje.

Do stworzenia obrazu z przeszłości potrzebowałam detali. Detale odkrywałam stopniowo, najpierw dojeżdżając do hotelu z 1881 roku. Ogólnie stulecie charakteryzowało się bogatą twórczością artystyczną oraz innowacyjnością wynalazków, które zmieniły świat. W Hiszpanii na świat przyszedł Pablo Picasso, we Francji działali impresjoniści, (A. Renoir, C. Monet); wynaleziono żarówkę (T. A. Edison) oraz telefon (A. G. Bell). W Polsce swoje piękne kompozycje tworzył F. Chopin, natomiast w Anglii słynny przyrodnik K. R. Darwin stworzył teorię ewolucji. Jednym z najważniejszych odkryć była turbina parowa wynaleziona przez irlandzko-brytyjskiego inżyniera C. A. Parsonsa oraz skonstruowanie stosowanej do dziś skali mierzącej siłę wiatru - skali Beauforta, opracowanej przez słynnego Irlandczyka. Do ciekawych wynalazków w tym wieku należały też zapalki, spodnie dżinsowe, aspiryna, agrałka i guma do żucia. Kreatywność i inwencje XIX wieku kontrastowały z licznymi konfliktami zbrojnymi. W Irlandii był to czas zdominowany walką o wolność i wyrwanie się z ucisku rządu brytyjskiego.



and breaking free from the British government oppression. "Man has a great potential to create beautiful things but also has the predisposition to instantly destroy what he has created"- I thought. Entering the main, dark chamber of the hotel, I remembered the dates and events from the past, which scrolled through my mind like a videotape. Suddenly I smelt a heavy scent of wood, mixed with dampness and old age. The strong fragrance grabbed my nose like a huge, invisible hand, abruptly bringing me back to my reality. I was now looking at the small chamber with a very low ceiling made out of beams that further lowered at the entry from one room to the other. There was even smaller chamber on the right hand side, in which a huge, black fireplace was standing proudly, filling the majority of the room. There were armchairs and a sofa placed around it, made out of thick, lightly sculpted wood and green, woven fabric. This is how the people warmed up in the past, sitting close to one another with the whole family, reading poetry, telling stories. This was the only place in the house with the fireplace, the only possibility to warm up one's cold bones, to survive the winter. And 1881 was the coldest year in the history of Ireland for Sligo and its surroundings...

The Lady of the House ceremonially and joyfully showed up in the room. She was talkative just as befits a true Irish person. At the news on me being lactose intolerant, she sneaked out to the nearby store to buy me lactose- free cookies, soymilk, and yoghurt. Her crossed arms barely held the treats that were falling out like from a Santa's bag. At the beginning of the trip I got to know the Irish hospitality. The lady of the House was a very sympathetic and eloquent person. Her personality beamed with knowledge and intelligence, acquaintance with the world, and foreign languages. She spoke fluently in French to my husband, English with me, and Gaelic (Irish) with Brian. The hotel was located in the village



„Człowiek posiada olbrzymi potencjał do tworzenia pięknych rzeczy, ale i ma predyspozycje do zniszczenia w mgnieniu oka tego co sam stworzył” - pomyślałam wchodząc do głównej, ciemnej komnaty hotelu. Daty i wydarzenia z przeszłości przewijały mi się w myślach jak taśma wideo. Nagle poczułam ciężki zapach drewna, pomieszany z wilgocą i starością. Silna woń, niczym wielka niewidzialna dłoń, chwyciła mnie za nos, dzięki czemu raptownie powróciłam do rzeczywistości. Przyglądałam się teraz małej komnacie z niskim sufitem z belek, obniżającym się przy przejściu z jednego pomieszczenia do drugiego. Po prawej stronie była jeszcze mniejsza komnata, w której dumnie stał potężny, czarny kominek, zajmując większość miejsca w pokoju. Wokół ustawione były fotele i sofa, wykonane z grubego lekko rzeźbionego drewna i zielonego, tkanego materiału. Tak ogrzewali się ludzie w przeszłości, siedząc blisko siebie z całą rodziną, czytając poezje, opowiadając różne historie. Tylko w tym jednym miejscu w domu był kominek, jedyna możliwość na rozgrzanie zmarzniętych kości, na przetrwanie zimy. A rok 1881 był dla Sligo i jego okolic najzimniejszym rokiem w historii Irlandii...

W pokoju ceremonialnie i radośnie pojawiła się Pani Domu. Była rozgadana jak na prawdziwą Irlandkę przystało. Na wiadomość o mojej nietolerancji laktozy wymknęła się do pobliskiego sklepiku, żeby kupić mi bezmleczne ciastka, mleko sojowe i jogurt. Jej skrzyżowane ramiona podtrzymywały z trudem smakołyki, które wypadały jej jak z worka Świętego Mikołaja. Już na początku swojej podróży poznałam prawdziwą gościnność irlandzką. Pani Domu była osobą nadzwyczaj sympatyczną, przez jej ciepłą osobowość promieniowała wiedza i inteligencja, znajomość świata i języków obcych. Z moim mężem płynnie rozmawiała po francusku, ze mną po angielsku, a z Brianem po gaelicku (irlandzku). Hotel znajdował się w małej wiosce Tobercurry, tuż obok Sligo. Nie



called Tubbercurry, right next to Sligo. I didn't expect to meet such a grand personality in the countryside. The Irish food was similar to Polish: fat, heavy, and delicious. A typical breakfast consisted of: sausages, bacon, eggs, roasted tomatoes, mushrooms, and blood pudding. Blood pudding sounds disgusting but it tastes exceptionally when served for breakfast. Dinners were based on potatoes that from time immemorial are essential element of their diet. An Irish scone is worth trying for dessert. Sometimes it is filled with wholesome cranberries or other dry fruits, and it is served with butter or honey. Simply scrumptious! I didn't feel like leaving. I wanted to stay over there forever, let the Lady of the House to endlessly pamper me...

The weather was surprisingly beautiful at this time of the year. The sun was shining during most of our trip, accentuating the colors of the trees and multiple shades of grass. Yellow daffodils and purple irises, here and there, pierced shyly through a thick layer of moss, decorating grey, lumpy ground. Although my trip was short, I had the opportunity to visit Turlough Park in which the National Museum of Ireland- Country Life is located, and to see the most beautiful places in the area. While strolling through the park I could feel a touch of the low hanging winter Sun, wrapping me in its warmth. I directed my face toward it, allowing him shamelessly to gently stroke my cold cheeks. His light resembled the sheen of an overly bright light bulb but still had nothing to do with the summer Sun that intensely heats up the soil creating wavy mirages in the streets. After a long winter, short days, gray landscape with bare brunches of the trees, from which black ravens scare the passersby with their rusty voices, with pleasure I greeted the pale sun. The chirping brood of birds and their frantic joy about the upcoming spring affected me. For a moment I forgot where



spodziewałam się tak wielkiego człowieka w tym zaścianku. Jedzenie było podobne do polskiego: tłuste, ciężkostrawne, pyszne. Typowe śniadanie składało się z kiełbasek, bekonu, jajek, pieczonych pomidorów, grzybów i kaszanki: „blood pudding”. „Krwisty budyń” brzmi obrzydliwie, ale wyjątkowo smakuje w zestawie śniadaniowym. Obiady były oparte na ziemniakach, które od dawien dawna są podstawowym składnikiem miejscowej diety. Na deser warto spróbować ciastko: „Irish scone”. Czasami jest ono wypełnione pełnowartościową żurawiną lub innymi suszonymi owocami i podaje się je z masłem lub miodem. Po prostu palce lizać! Nie chciało mi się stamtąd wyjeżdżać. Chciałam tam zostać już na zawsze, pozwolić Pani Domu na bezgraniczne rozpieszczanie mojej osoby...

Pogoda w Irlandii była zaskakująco piękna po tej porze roku. Słońce przyświecało prawie całej naszej podróży, podkreślając kolory drzew i wielorakie odcienie traw. Żółte żonkile i fioletowe irysy nieśmiało przebijały się przez gęsty mech, ozdabiając szarą zbryloną ziemię. Choć mój wyjazd trwał krótko, miałam okazję zwiedzić Turlough Park, w którym znajduje się Narodowe Muzeum Wsi Irlandzkiej oraz zobaczyć najpiękniejsze zakątki tej okolicy. Spacerując tak sobie po parku czułam dotyk otulającego mnie swoim ciepłem, nisko zawieszonego zimowego słońca. Zwróciłam twarz w jego kierunku, pozwalając mu bezwstydnie na delikatne muskanie moich chłodnych policzków. Jego światło przypominało mi blask nazbyt jasnej żarówki i nie miało jeszcze nic wspólnego z letnim słońcem, które intensywnie nagrzewa ziemię, tworząc falujące miraż na ulicach. Po długiej, chłodnej zimie, krótkich dniach, szarym krajobrazie z nagimi gałęziami drzew, z których czarne kruki straszą przechodniów swoim zardzewiałym głosem, z przyjemnością przywitałam blade słońce. Udzieliło mi się wesołe świergolenie gromadki ptaków





I was, the Sun melted me like a wax figure, uniting me with nature.

Admiring natural surroundings, I “painted” additional fragments in my mental picture that I was creating, step-by-step, discovering Ireland. A clay house (Thatched Cottage) appeared in the foreground of the park. Social injustice was very visible in this country in the nineteenth century. One does not need to be an architect to notice the differences between a huge, built in neo-Gothic style house of a wealthy family, and made of straw, sand, and stone tiny white cottage of an ordinary villager. Strolling through neatly trimmed garden, I wondered about transience of life, weeping for the poor and unfortunate. Dissimilarity of life of the peasants was strongly conspicuous, striking like the Californian sun. It was them who supported the entire country, toiled the land, making wicker fish and shrimp baskets, baby beds, boats, modest clothing, warm scarves, leather shoes, or simple but effective construction of their white, cramped houses. Women hand washed their laundry for their brood, in cold water that they carried on their shoulders. Thinking about them, I realized that nobody appreciated their work or their contribution, and to cap it all off, everything was against them. Landlords threw them out, often by force, if the peasants could not make their payments. The farmers suffered the most during the potato blight in 1845 that destroyed their crops; hunger and illnesses prevailed throughout the country. Half a million people had died from hunger, and about one million emigrated to England, Scotland, and America (it is said for these numbers to be much higher than officially registered). Looking at images of peasants I sought a smiling face but everything I could see were exhausted, hunched bodies, serious, rapidly aging young men and women, and people working hard in the field.



i ich szaleńcza radość z nadchodzącej wiosny. Przez chwilę zapomniałam, gdzie jestem, a słońce roztopiało mnie niczym woskową figurkę, scalając z przyrodą.

Podziwiając naturę, „malowałam” kolejne fragmenty w moim mentalnym obrazie, który tworzyłam stopniowo odkrywając Irlandię. Na pierwszym planie parku pojawiła się lepianka (Thatched Cottage). niesprawiedliwość społeczna była bardzo widoczna w tym państwie w XIX wieku. Nie trzeba być architektem, żeby zauważyć różnice pomiędzy neogotyckim, potężnym domem bogatej rodziny a wykonanym ze słomy, piasku i kamienia maleńkiego, białego domku zwykłego wieśniaka. Przechadzając się po starannie przyszytych ogrodzie, zastanawiałam się nad ulotnością życia, opłakując trochę tych ubogich i maluczkich. Odmienność życia chłopów mocno rzucała się w oczy, wręcz raziła jak wiosenne słońce. To oni podtrzymywali całe państwo, harując na roli, wykonując wiklinowe kosze do łowienia ryb i krewetek, łóżeczka dla niemowląt, łodzie, skromne ubrania, ciepłe chusty, skórzane buty, czy proste, ale jakże efektywne konstrukcje swoich białych, ciasnych domków. Kobiety prały ręcznie dla gromadki dzieci, w zimnej wodzie, którą dźwigały ze studni na swoich ramionach. Tak rozmyślając na ich temat, zdałam sobie sprawę, że i tak nikt nie doceniał ich pracy, wkładu i na domiar złego, wszystko obracało się na ich niekorzyść. Dzierżawcy wyrzucali ich z domu, często siłą, jeśli chłopci nie mogli wnieść opłat za czynsz. Najbardziej rolnicy ucierpieli podczas zarazy ziemniaczanej w 1845 roku, która zniszczyła ich plony, a głód i choroby zapanowały w całym państwie. Z głodu zmarło półtora miliona ludzi, a około miliona wyemigrowało do Anglii, Szkocji i Ameryki (podobno liczby te są o wiele większe aniżeli zanotowano oficjalnie). Oglądając obrazy chłopów, doszukiwałam się



Even donkeys were weighed down by huge baskets filled to the brim with potatoes, heavy as rocks. All of the characters looked like deformed misfits, Freaks of Nature. Admiring colorful paintings of the rich Fitzgerald family, I could see a proud look of the smiling father, looking at his children flying a kite and playing frivolously in the garden. "It was Them whom Mother Nature surrounded with life-giving love" - I thought. While visiting a museum, my attention was captured by standing higher than me metal device. I felt sorry for the animals trapped in the giant vice with shark's teeth. A saying: "A man is to man a wolf, man is to man a demon," had made sense to me when I read information about this cruel devise. As it turned out traps got hold of the limbs of trespassing the land (probably not victimized enough) peasants! I glimpsed at the Fitzgerald's painting once more, but this time, I was irritated by the calmness, insensibility, and indifference of the arrogant man.

When "I took up painting" for the first time, covering large linen with color, I didn't know what shades my image would have. Ireland has many dark pages in its history, which I immortalized in my painting with a dirty brown color, reminding me of the picture: "Hell" of Dieric Bouts. My piece of art is filled with greenery and the sea of red flowers - symbols of picturesque hills soaked with human blood. While visiting Ireland, I finally decided to leave the past for the past, deliberately forgetting the rich but difficult history. I pushed the pandemonium of the distant times into the old, rotten box, fastening it over the large anchor that I threw with a bang into deep water. Leaping at the opportunity, I added a few of my own life difficulties and disappointments with mankind - no longer standing at the crossroads but hanging above the chasm of a steep mountain. Despite everything, I have quiet hope that if pushed - it won't fall but spread its wings and fly like a bird... Standing motionless on the shipboard of



choć jednej uśmiechniętej twarzy, ale wszystko co widziałam to wyczerpane, zgarbione ciała, poważne, starzejące się szybko młode kobiety i mężczyźni, oraz ludzie ciężko pracujący na roli. Nawet osiołki były przygniecione wielkimi koszami, wypełnionymi po brzegi ciężkimi jak głazy ziemniakami. Wszystkie postaci wyglądały jak zdeformowani odchyłeńcy - Wybryki Natury. Podziwiając malownicze obrazy bogatej rodziny Fitzgeraldów, widziałam dumne spojrzenie uśmiechniętego ojca, patrzącego na puszczające latawce, frywolnie bawiące się dzieci w ogrodzie. „To Ich Matka Natura otoczyła swoją życiodajną miłością” - pomyślałam. Podczas zwiedzania muzeum moją uwagę przykuło wyższe ode mnie metalowe urządzenie. Poczułam żal do zwierząt uchwycionych w to gigantyczne imadło z zębami rekina. Łacińskie powiedzenie: „Człowiek człowiekowi wilkiem, człowiek człowiekowi diabłem” nabrało dla mnie sensu kiedy przeczytałam informację na temat tego okrutnego przyrządu. Okazało się, że potrzaski chwytały za kończyny wkraczających na tereny ziemskie, chyba jeszcze mało pokrzywdzonych, poniżonych do szpiku kości, biednych chłopów! Spojrzałam się raz jeszcze na obraz Fitzgeraldów - tym razem drażnił mnie spokój, nieczułość i zobojętnienie aroganckiego mężczyzny.

Kiedy po raz pierwszy „chwyciłam za pędzel”, pokrywając kolorem wielkie płótno, nie wiedziałam jakie odcienie będzie miał mój obraz. Irlandia posiada wiele czarnych kart w swojej historii, co uwieczniłam farbą w kolorze brudnego brązu niczym w obrazie: „Pień” Dierica Bouts. Moje dzieło jest też przepelnione zielenią i morzem czerwonych kwiatów - symboli malowniczych pagórków nasączonych ludzką krwią. Zwiedzając Irlandię, postanowiłam w końcu na pozostawienie przeszłości w przeszłości, celowo zapominając o bogatych, ale trudnych dziejach. Wcisnęłam pandemonium zamierzchłych czasów do starej, zbutwiełej skrzyni, zaczepiając ją



my unconsciousness, I observed emotionlessly the solid trunk being sucked into darkness of the water. Huge, long waves, like an octopus's arms pasted all over the present. I stopped mourning the past and quit to worry about the future. I have found hope for a better future. The full of charm, rustic soul of Ireland helped me to get away, calm down, and organize chaotic thoughts. Relaxing in the bosom of Mother Nature, I was cleansed, because just like Krzysztof Roszczyk said:

*Amongst your fields and green meadows,
one can experience peace to heart's content,
and no one is seeking, nor asking
about the thoughts that circle above us...*

AT



o wielką kotwicę, którą z hukiem wrzuciłam do głębokiej wody. Dorzuciłam do niej, tak przy okazji, kilka ze swoich własnych trudności życiowych i rozczarowania ludzkością, która już nie stoi na rozdrożu, ale wisi nad przepaścią stromej góry. Pomimo wszystko mam cichą nadzieję, że pchnięta - nie spadnie, ale rozwinie skrzydła i poszybuję jak ptak... Trwając tak bez ruchu na statku swojej podświadomości, obojętnie obserwowałam jak ciemna woda wsysa masywny kufer. Wielkie, długie fale, jak ramiona ośmiornicy oblepiły prezent. Przestałam opłakiwać przeszłość, ale i zaniechałam martwienia się o przyszłość. Odkryłam w sobie nadzieję na lepsze jutro. Pełna uroku, sielska dusza Irlandii pomogła mi się oderwać, wyciszyć, zorganizować chaotyczne myśli. Odpoczywając na łonie Matki Natury doznałam oczyszczenia, bo jak pisał Krzysztof Roszczyk:

*Pośród twoich pól, oraz łąk zielonych,
można spokoju doznawać do syta,
a o te myśli, co krążą nad nami,
nikt nie zabiega, a także nie pyta...*

AT



foto Agnieszka Thomassen

Pewien młodzieniec zapytał Mozarta, jak skomponować symfonię. Odparł, że jest jeszcze zbyt młody i poradził mu zacząć od ballad.

- Ale pan komponował symfonie mając 10 lat!

- zaprotestował młodzieniec.

- To prawda, lecz ja nikogo nie pytałem, jak się to robi

- odparł Mozart.

